

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

Rok IX

Warszawa, dn. 10. II. 1952 r.

Nr 6 (340)

PIĄTEGO LUTEGO 1947 R.

5 lutego 1952 r. mija pięć lat od dnia, w którym Sejm Ustawodawczy RP wybrał Bolesława Bierut na stanowisko Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z imieniem Bolesława Bierut twórcy Krajowej Rady Narodowej, przewodniczącego KC PZPR i Prezydenta RP łączą się wszystkie najważniejsze wydarzenia ostatniego 10-lecia historii Polski — 10-lecia wielkopomych przemian rewolucyjnych w dziejach narodu polskiego.

Jesteście spadkobiercami poprzedników Waszej — Krajowej Rady Narodowej, która tu w podziemnej Warszawie, wykuwała drogę, prowadzącą Naród do wyzwolenia, kierującą go na jedynie słuszny szlak, wiodący do zwycięstwa i wielkości.

Krajowa Rada Narodowa miała odwagę wzięcia na siebie historycznej odpowiedzialności za Polskę w chwili najcięższej walki, jaką wypowiedział nam hitlerowski wróg. Miała śmiałość wskazania drogi błądzącej po manowcach polskiej myśli politycznej. Krajowa Rada Narodowa w przeciwstawieniu do programu jej przeciwników i wrógów rzuciła hasło zjednoczenia wszystkiego, co żywe i zdrowe w społeczeństwie, w dążeniu do wspólnego wszystkim i świętego celu wyzwolenia Polski i oparcia Jej bytu na trwałych niezniszczalnych fundamentach.

Myśl polityczna Polski znalazła teraz kierunek zgodny z interesem Narodu i Państwa, rysujący perspektywę wspaniałego rozwoju. Równocześnie to, co w ciągu wieków było naszą klęską, że narodem w znaczeniu pełni praw była tylko garstka, że lud pracujący pozbawiony był możliwości decydowania o własnym losie — to uległo zasadniczej, radykalnej zmianie.

Głębokie, zasadnicze reformy, jakie legły u podstaw odbudowującej się Polski, rozszerzyły pojęcie Narodu na miliony robotników i chłopów, nadały im po raz pierwszy w naszych dziejach pełne prawa świadomego uczestnictwa w tworzeniu materialnych i duchowych wartości, z których buduje się wielkość i szczęście Narodu.

Jeśli Kołtataj i Kościuszko wołali, iż nie prędzej Polska będzie wolna, póki się lud nasz nie poczuje obywatelami we własnej Ojczyźnie, to dziś, po półtora wieku trwałej walce, możemy stwierdzić, że hasło to jest przez nas w pełni realizowane.

Jeśli najbardziej nawet surowo, ale bezstronnie Sejm Ustawodawczy oceni dotychczasową pracę i osiągnięcia od powstania Krajowej Rady Narodowej do chwili obecnej — odpowiedź może wypaść tylko jedna: w wielkiej bitwie z siłami zacofania, przywileju i wyzysku, z siłami niszczycielskimi — zwycięstwo odniosły siły postępu, siły twórcze. Zwyciężył Naród uosobiony w milionowych masach ludzi pracy, twórców i budowniczych...

Wasze prace nie będą tylko wskazaniem, nie będą tylko testamentem dla przyszłych pokoleń. Będą wykucaniem w twardej skale nowego oblicza Polski, będą realną pracą, której każdy dzień będzie wydawał owoce.

Musicie skupić do tej pracy cały naród, zjednoczyć wszystkie siły... Sto przed Wami, Obywatele Państwa, najważniejsze zadanie: opracowanie nowej konstytucji, konstytucji, która wcieli najpiękniejsze ideały polskich bojowników o wolność, a która wolna będzie od wad, jakich nie mała widzieliśmy w naszej historii, konstytucji, która godna będzie bohaterskiego Narodu Polskiego...

BOLESŁAW BIERUT

(Fragment z przemówienia na Sejmie Ustawodawczym w dn. 5 lutego 1947 r.)

JÓZEF POGAN

Poza nami już straszna przeszłość

CZYTAJĄC i zastanawiając się nad projektem Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, nie mogę oprzeć się wzruszeniu i opętać wspomnieniom z czasów przedwojennych.

Sam przecież urodziłem się w chałupie, jaką u nas zwą kuczką, urodziłem się z ojca „miotlarza” i matki „zagoniarki” i sam, gdy dorosłem, aby żyć, przyżeniłem się do zagony i kucy grzebiąc dziecięce marzenia o nauce, grzebiąc młodzieńcze marzenia o pisaniu.

Sam przecież, kiedy w Polsce Ludowej roznieciłem w sobie zagrzebane iskry, stałem się kronikarzem dzieł tych z ugorów, tych na głodnym przed wojną zagonie.

Jakże więc, ma mi nie bić wzruszeniem serce, jakże ma mi pamiętać nie wracać, dla porównania, straszna przeszłość, kiedy czytałem Konstytucję, która odzwierciedlała i zatwierdzała nową rzeczywistość. O patrzcie...

W rozdziale „Ustrój polityczny” w art. 1 nowa Konstytucja postanawia, że Polska Rzeczpospolita jest państwem demokracją ludową... że władza należy do ludu pracującego miast i wsi... w art. 3, że „Polska Rzeczpospolita Ludowa stoi na straży zdobyczy polskiego ludu pracującego...” zapewnią rozwój i nieustanny wzrost sił wytwórczych kraju... a w art. 4, że „prawa Polskiej Rzeczypospolitej są wyrazem interesów i woli całego ludu pracującego...”

A sens praw Konstytucji przedwojennych? Był jeden, że robotnik, bezrolny oraz mało i średniorolny chłop nie mieli żadnych praw. I odzwierciedlały i zatwierdzały taki stan tamte Konstytucje. Ja tu rzucę głos wspomnień i przykładów z moich rodzinnych stron, niechby tak każdy uczynił w swoim sumieniu, jeśli nie publicznie, do czego ma prawo jako Obywatel prawdziwie swojej dziś, ojczyzny. Bo taki czyniąc rachunek wspomnień, każdy z nas dopiero głęboko pojmie nową Polskę — republikę ludu pracującego.

Do Sejmu Ustawodawczego w r. 1919 w naszym okręgu wyborczym przy poparcu okolicznych księży i bogaczy, przeszedł na posta bogacz z Sułoszowej, wnuk księdza Jagodzkiego. Sejmikiem powiatowym w Olkuszu trząsł oprócz starosty, dziekana z Łaz, posiadający około 500 morgów ziemi, dr Marceł Truszkowski. On też był powiatowym prezesem Kółek Rolniczych w Olkuszu, on nadawał ton polityczno-gospodarczy całemu powiatowi. Wielkiej gminie Sułoszowa wójtował przez wiele lat pupilek organisty i księdza, kleryka i aktywny OZNowiec, a późniejszy lizoni niemiecki, urządzający obławę na biedniaków, bogaty gospodarz, sklepikarz, drobniowiec, niejaki Skrzypek Franciszek. W gminie Zabierzów wójtował znów świętoszek, wierny przyjaciel okolicznych księży, stumorgowy kula Kodura Jakub. Tak było w moich rodzinnych stronach i tak było na ogół w całej Polsce. Masy pracujące nie tylko były niedopuszczane do władzy na najniższym nawet szczeblu, ale nie mogły korzystać z żadnych praw.

Rozdz. 2 nowej Konstytucji gwarantuje stały rozwój sił wytwórczych kraju, nieustanne podnoszenie pozio-

mu życiowego mas pracujących, wzmacnia spójność gospodarczą między miastem i wsią, zapewnia nieustanny wzrost produkcji przemysłu państwowego... otacza opieką indywidualne gospodarstwa rolne i udziela im pomocy w celu ochrony przed wyzyskiem kapitalistycznym... itd.

A władze sanacyjne zamiast o produkcję, dbały wyłącznie o zyski kapitalistów zarówno przemysłowych, jak i agrarnych.

Znaczyło to, że miliony chłopów na mało i średniorolnych gospodarstwach upadało do prymitywu i samowystarczalnej gospodarki. Inwestycje, protekcje cłowe, odpłaty i nadpłaty oraz nauka, wszystko to było na usługach obszarńskich majątków i u brzoju kapitalistycznego stolu również dla kulałów. Na przykład na polach dziedzica Truszkowskiego w Łazach rosły tak piękne zboża, ziemniaki i buraki, że chłopci z sąsiednich wiosek chodzili oglądać napęczniałe grube ziarno graniaste kłosy. Takie też zboża rosły na polach stumorgowego Żurawskiego i Kodury, na polach sześćdziesięciomorgowego Papiza, prezesa miejscowego Kółka Rolniczego Mirka Józefa i innych bogaczy. A jaka była wydajność przeciętnego rolnika? Jak rozwijały się siły wytwórcze na wsi milionowych chłopskich mas?

Nawała ściągania zaległych podatków zaczęła się w r. 1930. Ale tysiączne zaległości w majątkach książąt Czartoryskich w Smardzowicach i Ojcowie nie były ściągane, o co toczyła się bezskuteczna walka w Radzie Gminnej w Cjanowicach. Dziedzic Ślizowski z Wierchowia zawsze przepędził sekwestratora i pomocnych mu policjantów. Dziedzic Półtorak z Będkowiec zawsze uzyskał u władz protekcję dla anulowania podatków. Poborcy rzucili się masowo na średniaków i biedniaków, którzy nie mając z czego płacić podatków, zalegali, wyczekując jakiejś zmiany: rewolucji czy wojny. Znały były powszechnie upomnienia kosztujące po 1 zł. 50 gr., gdy ktoś miał ziemię w kilku miejscach (a tak było z biedniakami), koszty upomnień pomnażały się o ilość tych głodnych zagónów, dochodziły z kolei nowe koszty za zajęcie ruchomości, następnie za ogłoszenie licytacji, a wreszcie za licytację. Zdarzały się częste wypadki, że koszty egzekucyjne przewyższały dziesięciokrotnie podatek. I co by biednemu chłopu przyszło z wysłuchania prelekcji dziedzica Truszkowskiego czy instruktora rolnego o należytej uprawie ziemi, doborowym ziarnie siewnym, stosowaniu nawozów i pielęgnowaniu roślin.

Nie też nie przyszło, bo te kółka i prelekcje były nie dla niego, dla „trzesirzadów” wsi, bogaczy Żurawskich, Kodurów, Papizów i ich podopiecznych „świderków”, wkręcanych w gromadę zagóniarzy, aby tłumie zlorozczenia i bunt. A gdyby zagóniarze i małorolni posłyszeli te „piękne” prelekcje, odczuli by je jak pośmiewisko, skoro zmuszeni byli co roku siać oziminy w listopadzie, jare zboże w maju, a ziemniaki sadzić w końcu maja i w czerwcu. To się nazywało przed wojną rolnictwem, wytwórczością. Nie będe tu przypominał, jak ci ludzie żyli, przez wszystkich moje książki ciągnie się ich tragiczny — pamiętnik. Ale i teraz nie

zmilczę garści przykładów, dokumentów życia, które gnało w śmierć.

W okresie kilku lat przed wojną w samych tylko Będkowiecach zmarli przedwcześnie wskutek choroby spowodowanej niedzą: Kowalski Franciszek, Kowalska Krystyna, Paczyński Jan, Goden Zofia, Nowara Władysław, Wasztek Jakub, Mitka Szczepan, Czapla Stanisław, Ludwik i Paweł, Sroka Piotr, Juraszewski Józef, Zurek Andrzej, Jarosz Józef, Mirek Anna, Brandys Jan, Czapla Rozalia, Leśniak Piotr, Siudek Anna i kilkoro innych dorosłych ludzi, których sobie nie mogę już przypomnieć, a których śmierć nastąpiła wyłącznie z powodu niedzy życiowej. Brat mój Franciszek przemroził się w pracy u młynarza Floreczka i zmarł w 20-ym roku życia; bracia Jan i Władysław nabawili się reumatyzmu w pracy na tzw. „bieda-szybach”, gdy ich zredukowano w kopalni. A ile małych dzieci?... Z niedzy też powiesił się Siudy Józef w Będkowiecach, Karzeł Maria zwariowała, a Sokół Jan, służący u młynarza Floreczka, popełnił samobójstwo. Jest też kilka kalek z powodu reumatyzmu, przeziębienia i innych nabytych w niedzy chorób. Wspominam też śmiertelną litanię dlatego, abyśmy jasno widzieli, jak pierzchał zmora ustroju kapitalistycznego w Ludowej Polsce. Jak po siedmiu latach wzdrzygnąć się musi czytelnik nad tą litanią śmiertelną, tak już wydaje się nieprawdopodobna, ale dopiero dzisiaj, kiedy obalona została władza obszarńców i kapitalistów.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej otacza opieką również indywidualne gospodarstwa, uznaje i gwarantuje prawa dziedziczenia ziemi, a dobrowolnie powstającym spółdzielniom produkcyjnym udziela szczególnego poparcia.

Zielniku Pawle! Przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Rybnej, pow. Tarnowskie Góry, gdzie na polach indywidualnych gospodarzy urosły tak piękne zboża, jak na waszych spółdzielcach? Odbudowaliście też w krótkim czasie zniszczony przez wojnę pański pałac, który wam służy na biura spółdzielni, na świetlice, magazyn dla spółdzielczości itp. potrzeby gospodarce.

Dojarzu Piliński ze spółdzielni produkcyjnej w Nowej Bzinczy, pow. Lubliński. Czy widzieliście gdzie piękniejsze ciętla, jak w waszej spółdzielni? Słyszycie: nowa Konstytucja gwarantuje wam szczególną opiekę i poparcie! Reakcja przeliczyła się w swej przewrotniej propagandzie, wy natomiast nie ustajecie w pracy, dążąc do coraz lepszych wyników. I coraz mocniej pociągając swym przykładem chłopów z innych wsi.

Rozdz. 7 Konstytucji mówi szeroko o prawach obywateli. Nie miał przed wojną żadnego prawa taki biedniak F. ze wsi Szklary, którego młynarz K. B. zastrzelił jak psa, podczas zbierania chrustu w lesie i nie był za to karany, ani rodzinie zabitego nie płacił na utrzymanie, ani Goden z Kawior, którego rzadca Karniowickiego dworu zabił śmiertelnie, podczas zbierania grzybów w lesie, że chłopina długi czas chorował, ani farnale dziedzica Ślizowskiego w Wierchowiu, gdy ich za co bądź bił brutalnie. O, takie przykłady można by wytrząsać jak z rękawa.

Tenże rozdz. w następnych artykułach postanawia o wypoczynku, o urlopach, o czasach, uzdrowiskach, o ochronie zdrowia, o nauce, o kulturze, o rozwoju literatury, sztuki, o otaczaniu opieką inteligencji twórczej itd. Przy czytaniu tych ustępów Konstytucji ogarnia mnie głębokie wzruszenie. Rodzice moi byli analfabetami, jak wszyscy niemal równi im latami wieśniacy. Dzieci też tyle tylko posyłały do szkoły, by się nauczyły przeczytać książkę do nabożeństwa, tak też było w naszej rodzinie. Po co kształcić dzieci?... Jeszcze podczas okupacji niemieckiej eksmagnatka inż. Rościszewska Janina, która wydała książkę i pretendowała do miana sławnej literatki, mówiła mi, że „nie ma nic gorszego, nad trochę wykształconego człowieka, bo z braku głębszej wiedzy o życiu będzie niesłusznie zamożnym ludziom zazdrościł majątku, wyższej nauki i będzie się przeciwko nim niesprawiedliwie buntował”.

Ukończyłem 3 klasy szkoły powszechnej, po czym niedzą wypędziła mnie na wyrobek do kulałów. W ciągłych zmartwieniach i rozmyślaniach nad niesprawiedliwością społeczną w świecie podczyłem się czytaniem i zacząłem próbować pisać wierszy i artykułów. Przez kilka lat w nieludzkim ustroju społecznym daremnie marzyłem o realizacji moich pragnień — o twórczości literackiej. I gdyby nie Rząd Polski Ludowej, byłbym nadal tym, czym byłem dawniej w kucce na zagonie, „cepakim” i wyrobnikiem u kulałów za marne grosze. A to przecież było nie tylko moja osobista tragedia — było tragedią setek, tysięcy utalentowanych biednych ludzi, grzędnących w bagnie i zapomnieniu. W podojewskiej okolicy próbowali daremnie pióra: M. Wojdała ze Smardzowic, J. Cyra z Przybyławic, W. Walczak z Czajnowic, Nabagłówna z Jerzmanowic, P. Mirek z Łaz, S. Skrzyżniowska z Biatego Kościola. A ile z innych dziedzin zaprzepaściło się talentów! Tu znalazł się samorodny rzeźbiarz — świątkarz, tam malarz, muzyk, gdzie indziej mechanik ślusarski, konstruktor. Co młodzi i wytrwali, wystartowali w Polsce Ludowej. Reszta talentów zmarnowała się w błocie sanacyjnego ucisku!

Nazwano mnie w pierwszych latach po wojnie pisarzem biedniakiem. Zaszczęto to dla mnie niemają, ale nie w pełni na niego zasłużyłem. Bolesć moją i setek tysięcy podobnych, najniżej do ziemi przyciętych, chciałem wyrazić za siebie i za nich, aby jeszcze jeden dokument świadczył w nowym naszym życiu od czegośmy się wyzwolił. I zanadto w tym ugrzęzłem. W walce i twórczej pracy rozwijało się nowe nasze wielkie życie, a ja wciąż jeszcze wydobywałem z zapiekłej pamięci tamtą kronikę, tamten pamiętnik. Ale jestem biedniakiem pisarzem i piszę już o nowym w życiu dawnych zagóniarzy, o ich urzeczywistnianiu w walce i pracy wielkich idei socjalizmu, całkowitego zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka na wsi. O, Konstytucjo! która w odzwierciedleniu nowego życia narodu jesteś treściwsza i bogatsza od dzieł wszystkich pisarzy, bądź moim natchnieniem razem z nowym życiem.

Józef Pogan

W NUMERZE:

G. TIMOFIEJEW — Krytyka i prasa pomagają pisarcom. T. PAPIER — Ostatnia podróż.
T. MURAS — W sprawie czytelnictwa i bibliotek. M. JANION — „Dopływy” krytyki literackiej.
A. KAMIENSKA — Jakiej powieści chciała wieść przed 6-laty. T. A. JASINSKI — Pierwsze Rady.
A. SKIBA — U źródeł imperializmu amerykańskiego. L. GOMOLICKI — Portrety pepeerowców.
W. WASILEWSKA — Rewolucja chłopska w powieści Kociubynskiego W. DRYGAS — Ob. Antosik.
M. B. TOLSON — Czarna symfonia. AIME CESAIRE — Kolonizatorzy.

IGOR SIKIRYCKI

ZIEMIO MAZURSKA!

(fragment poematu)

1.

Ziemio mazurska, ziemio cisz
Rzeźbiona ostrym kłem lodowca
Jeszcze odgłosy epok słyszysz,
W których surowy kształt twój powstał.

Czujesz jak w słońcu się przegina
Łód, który w ciału twe się worał.
Widzisz jak martwe dno kotliny
Wypełnia żywa toń jeziora.

A obok sosny, pierwsze sosny
Z których żywiczne krople płyną
Po to, by w tobie gwiazdy rosły
I człowiek nazwał je bursztynem.

Słyszysz, jak cicho pełźnie strumień
Ze zbocza w puszczy chmurną zieleń —
Ale i tam go znaleźć umie
Spragniona sarna albo jelen.

A ponad tobą w blaskach zorzy,
Która sosnowe pnie rozżarza,
Srebrnym obłokiem zwisa orzeł,
Jakby na skrzydłach niebo ważył.

Ziemio mazurska, ziemio cisz
Rzeźbiona ostrym kłem lodowca,
Jeszcze odgłosy epok słyszysz
W których surowy kształt twój powstał.

2.

Sosno mazurska, smukła sosno
Oparta cieniem w mrocznej wodzie,
Topór Jadrzina twoim siostrą
Tu kiedyś nadał kształty ludzi.

Tu za rybakiem biegła trwoga,
Którą dostrzegł w oczach łani,
Kiedy po burzynie jechał bogacz
Z pierśią okutą w brąz — Rzymianin.

Jeszcze nie ostygł popiół ognisk
I śladów kół nie zmyło w jarach,
A już na drodze blask pochodni —
Za Rzymianinem przyszedł Arab.

Ileż tu razy chłop przy radle
Trafiony strzałą w pas się zginał,
Kiedy mu plony i osiedla
Zakryła ogniem dłoń Litwina.

Stąd się unosił dym w obłoki,
Jak stado kruków ponad lasem,
Kiedy Tatarzyn skończył
Po wydmach branki pędził w jasyr.

Czernieją jeszcze murów ślady,
W które północny wiatr się wgrzyza
Tu, gdzie w czas walki i zagłady
Żelazną stopę oparł Krzyżak.

3.

Pieśni mazurska, pieśni szczerą
Do dzisiaj jeszcze przypominasz
Czas, w którym księż sponiewierał
Odwieczne prawa włóścianina.

Kiedy to groźny pan z zamczyska
Wydierał chłopu plon i polów
I nawet psom ochłapy ciskał
Ujęte brzegom wiejskich stołów.

Ileż to razy milkaś pieśni,
Jak ptak, którego grom przestraszył,
Gdy u stolarza lub u cieśli
Szpony szubienic ostrzył faszyzm.

Aż nadszedł wreszcie dzień zapłaty.
Na trakt, na każdą ścieżkę polną,
Czerwonej Armii pęd skrzydlaty
Pieśń nową przyniósł — pieśń i wolność.

Rozbrzmiewaj pieśnią wolna ziemią.
Wtórą jej olcho, jodło, sosno —
Zbudźcie jeziora — niech nie drzemią,
Niech szumią z wami pieśń radosną.

Śpiewaj mazurski traktorzysto.
Po swojej ziemi traktor wodziś.
Słyszysz jak w mroku dzwoni przystań?
— Na nocny polów płyną łodzie.

IGOR SIKIRYCKI

POKOŁENIE SYN FORMALA Z RODZINY ŚREDNIOROLNEJ

STANISŁAW KISIECKI

BRONISŁAW GOŁĘBOWSKI

MAM 18 lat. Jestem studentem pierwszego roku polonistyki. Przybyłem na uczelnię warszawską z Drohiczy, gdzie kończyłem liceum. Do Drohiczy przyjechałem z folwarku Ostrożany, gdzie mój ojciec był formalą.

Kiedy zdawałem wstępny egzamin na polonistykę, miałem głębokie przeświadczenie, że asystent (młodzi krytycy i naukowcy), egzaminujący mnie zarówno z tego, co powinienem wiedzieć, mimo że przyszedłem z zapadłego kąta białostockiej, jak też z tego, co powinienem zrozumieć i osiągnąć właśnie tam, gdzie reakcja zakładała swój bastion dla wzniesienia wojny domowej, tam, gdzie Partia w pierwszych latach zawierała sojusz wojenny z małorolnym chłopstwem.

Jesienią 1944 r. dzielono w naszych stronach obszarniczą ziemię... Miałem wówczas 11 lat. W październiku tegoż roku zginęli zamordowani przez bandy NSZ-u: sekretarz grupy PPR, tow. Grabarz Franciszek i Wojdyga Antoni. Była to pierwsza cena krwi za dzieloną krokami towarzyszy z Komitetu Folwarcznego, obszarniczą ziemię. Był to początek walki Partii z krwawym terrorem, band polskich Denikinów i Kołczaków, próbujących powstrzymać historyczne przemiany.



Traktor w latach dziecięcych

ków, próbujących powstrzymać historyczne przemiany.

...W poobszarniczej resztkówce gospodarował były dziedzic Kołodziej-ski, wyprzedając skrzętnie co się dało, od przydzielonego bydła po cząstki, a kończąc na rozbiórce inwentarskich budynków.

...Na plebani buchało wesoło i wygodne życie. Natłok dobrze płatnych mszy żałobnych, nocne nabożeństwa dla bandytów z NSZ-u i WiN-u, pijacka buta zakrystiana, aktywnego uczestnika tzw. „kontrybucji”, czyli kryminalnych rabunków w okolicy. Na strychu kościelnym i za ołtarzem leżała ukryta broń, od której wczoraj zginęli tow. Grabarz i Wojdyga.

...Zrzucony jeszcze sprzed wojny dziedzic Kryński montował z synem, „Rekinem”, sieć kulackich „bojówek” w okolicy. Ginęli tajemniczo ludzie nawet nie zawsze „polityczni”. Zebrał z zaoszczędzonym, czy „tasińnik” - straganiarz z utargowanym groszem, przyszyty handlarz - ryzykant czy wracający z jarmarku chłop.

Elegancko stroili się „oficerowie” Rekina, ich rodziny paradowały bezcennie w skradzionych ubraniach sąsiadów.

...Gospodarstwo Jaczyńskiego I., kułaka ostrożańskiego, było stałą rezydencją włóczących się po okolicy band. Jaczyński porastał w pierze, a nad parcelantami wiałło widmo odrobku za „pomoc”.

...Zginęli najpiśniej, ale z tych śmiertelnych zapasów wyszła zwycięsko władza ludowa. Na parcelach poobszarniczej ziemi orano i dojrzewało złoście zboże. Były formalie i okoliczne biedota wytrwale bronili wielkiej przemiany.

Oto, czym żyłem w 1944-45 i 46 roku. Ale byłem również dzieckiem, więc w te same niespokojne dni wielkich zmagających się, wcześniej obudzoną namietnością czytania: od starych elementarzy, poprzez fantastyczne opowieści z kramów odpuściwych i kalendarzy na dawno zapomniane „lata pańskie” aż do wykradanych z kościelnego strychu złożonych tam resztek dworskich bibliotek.

Jesienią 1946 r. poszedłem do gimnazjum w pobliskim miasteczku, Drohiczy. Odważył się mój ojciec, formal, odważyli inni. Oznajmowało się w ten sposób zwycięstwo władzy ludowej w naszym zapadłym kącie. Jeszcze tu niepełne, jeszcze dopiero częściowe... choć tacy jak ja dostali stypendium i bursę.

Jeszcze w Drohiczy, miasteczku pół rolniczym, panowały klaszory i rodziny aptekarzy, sklepikarzy i domy profesorskie, pamiętające uczniom książeczkę o hrabiowskiego rodu, kiedy wyłani ze wszystkich innych przed wojną gimnazjów, przybywali do Drohiczy na zesłanie i dyspensę.

...W szkole zastałem jeszcze wszechwładzę butnego prefekta i jedyną organizację młodzieżową S. M. i skleryzowane harcerstwo. Atmosfera religijnej tępoty i brak jakiegokolwiek krytycyzmu, bałwochwalcza wiara w autorytet księdza, lizusostwo i królujący zakłamanie z dewocją — oto stosunki w szkole. Bo też formalie dzieci przyszły dopiero w 1946 r. a przez dwa poprzednie lata tłoczyli się kulacy synowie i „zagonowi bracia”. Stan ten wykorzystywał znakomicie ksiądz dla siania nienawiści do wszystkiego co ludowe.

Stąd naturalną konsekwencją był fakt, że najczynniejsi sołdasi okazali się członkami band terrorystycznych. Proces b-ci Romanowskich ujawnił zakrytą stronę działalności ks. prefekta: praca podziemia wśród młodzieży szkolnej oparta była o Sodalację Marińską.

Proces b-ci Romanowskich, uczniów szkoły, sołdasiów i członków bandy zapowiadał szybką klerykalnych rządów. W szkole dokonywał się proces zmiany składu klasowego młodzieży. Rok 1946 a szczególnie 1947 stanowił okres napływu takich właśnie jak ja, synów byłych formal, komorników, biedniaków ze wsi.

„Nowi” wnieśli ze sobą nierozwiniętą, ale już odczuwaną świadomość klasową, jak iskrę zapalającą płomieni walki klasowej w szkole.

XII — 1948 to miesiąc rozpoczynający wielki przełom w szkole. Organizujemy koło Z. M. P. Od 5 początkowych członków koło roztacza się szeroko. Jestem pierwszym przewodniczącym młodzieżowej organizacji.

W lipcu 1949 ZP, ZMP w Bielsku Podl. wysłała mnie na Centralny Kurs dla aktywów szkolnego w Bartoszych. Ma to dla mego rozwoju niebywałe znaczenie. Koniec błędzenia samopas.

Rok 1949 to rok krystalizowania się mojej politycznej postawy. Utrzymuję ścisłe kontakty z ZP, ZMP, przy

Zamieszczamy poniżej trzy wypowiedzi autobiograficzne młodych polonistów. Jeden 18-letni — jest synem b. formal z białostockiej, drugi też 18-letni, synem średniaka z rzeszowskiego, trzeci 19-letni — synem robotnika z Ostroliki. Życiorysy te ukazują nam najmłodsze pokolenie nowej inteligencji humanistycznej. Pokolenie, które Wyzwolenie powitało w 10-tych, 11-tych roku życia, którego późniejsze lata dzieciństwa, a pierwsze młodości przypadają na okres wielkiej historii naszego narodu: od rewolucji do Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Dlatego w Konstytucji widzą młodzi polonisci każdy rok ich życia, każdy szezebel ich awansu i rozwoju oraz cel, do którego są powołani „prawem, honorem i obowiązkiem”.

W życiorysach tych na szczególną uwagę zasługuje nie tylko rozwijający się obraz praw obywatelskich, jakich dostępuje to najmłodsze pokolenie inteligencji z robotników i chłopów, ale również rozwijający się obraz obowiązków obywatelskich. Dorastanie tego pokolenia do obowiązków obywatelskich w REPUBLICE LUDU PRACUJĄCEGO

Redakcja

lać to, co opłacili krwią towarzysze z Ostrożan.

Mam 16 lat. Nabierając wielkiej wymowy fakty z lat krwawego terroru 1944 — 1946. Rozumieję teraz w pełni zapamiętane obrazy zmagających się i utrwalania osiągniętych zwycięstw rewolucji, obrazy tego wielkiego procesu, który głęboko przeżywałem i którego również sam byłem uczestnikiem.

Rok 1950 był dla mnie rokiem gwałtownego odnowienia zainteresowań literaturą. Prowadzę pracę w Kole Polonistów, sam śledzę pilnie życie literackie poprzez „Więś”, „Kuznię”, „Odrodzenie”, później „Nową Kulturę”.

Szczególnie „Więś” dała nam dużo korzyści w pracy. Sprawdzianem osiągnięć i bodźcem do pracy były artykuły i reportaże np. z Godzianowa, czy innych okolic. Wiele również korzystałem z „Wsi” w zakresie historii literatury. Bo w naszej szkole wciąż jeszcze musieliśmy się sami dobrać o rzetelne, niezafałszowane, marksistowskie spojrzenie na literaturę.

Praca zetempowska w terenie i kontakty z Partią doprowadziły mnie w listopadzie 1950 r. do Jej szeregow. Zostałem przyjęty. Stanąłem u progu dojrzałości zarówno politycznej, jak i umysłowej. Zbliżał się okres matury, zakończenie pierwszego etapu. Raz jeszcze wypadło uderzyć celnie w szkodliwą, którą z resztek rozgromionej Sodalacji montował grupę kulackich i mieszczańskich dewotek, podsuwając im nowe metody: „maly sabotaż” — niszczenie emblematów, dekoracji, gazetki i prowokacyjne pisanie próśb o zwiększenie godzin religii.

Rok 1951 rozpoczął próbami „literackimi” we „Wsi”. Pragnąłem dać w nich wyraz walce, jaką toczyła wieś w naszej okolicy pod przewodem Partii, chciałem dać dokument jej zwycięstw i osiągnięć.

Dziś studiuję na uniwersytecie „Polonistykę”. Jeszcze w gimnazjum na prowincji pojmowałem jak ją wrota otwierające możliwości twórczej pracy dla najlepszych z ludu, dla tych, co chcą tworzyć.

Chciałbym nagle zacząć pisać dla tych i o tych, spośród których wyszedłem, z którymi razem walczyłem i których osiągnięciami żyję.

Odcytując po raz nie wiem który artykuły Konstytucji przeżywam jej i rozumiem jako wielki życiorys narodu. Dlatego ośmieliłem się skreślić mój jednostkowy życiorys. Konstytucja nasza jest Konstytucją młodości narodu socjalistycznego.

Stanisław Kisiecki

LESZEK BAKUŁA

Z ROBOTNIKÓW MAŁEGO MIASTECZKA

TEGO dnia gdy wróciliśmy po wykładach do domu akademików, każdy z nas przyniósł gazetę z projektem Konstytucji. Ludwik Gołabek, syn-chłopa biedniaka, donosił mi głosem zaczął czytać artykuł po artykule. Szczęśliwie nas, młodych chłopów, słuchało uważnie jak brzmiały, przysługujące im prawa. Powoli każdy przynosił się myślą do lat, które minęły. Nie zaliśmy się dotąd bliżej, bo od niedawna ze sobą mieszkamy, ale wszyscy jesteśmy zetempowcami. Przewodniczący koła zaproponował więc, żebyśmy po przeczytaniu — dla lepszego poznania się i lepszej pracy w kolektywie — podejmując dyskusję nad Konstytucją, opowiedzieli sobie o naszym życiu i planach na przyszłość, które nam Konstytucja gwarantuje. Gdy przyszła na mnie kolej, opowiedziałem...

Dopóki matka nosiła mnie za chustką, mój stosunek do życia był obcojęzy, ale gdy stamtąd wyłazłem, to pierwszym moim doświadczeniem była krzywda społeczna. Mieszkaliśmy w Ostroli, małym miasteczku powiatowym nad Narwią. Był to przed wojną ośrodek handlarzy drobnotowarowej gospodarki rolnej i zapotrzeniowej na cały powiat. Był to ośrodek granicznego przemysłu i szmuglerstwa oraz fałszywostwowskich wpływów ONR z Warszawy. Matka moja pracowała dorywczo w różnych kupców - dorobkiewiczów i ciwierz inteligentów, nie nazywana nigdy robotnicą w takim jak nasze miasteczko. Ojciec wystawał najczęściej pod magistratem, bo nie było roboty, a każda brała ten wozniwoda, rębacz, łopacz i palacz.

Mieszkaliśmy na poddaszu lub w piwnicy, jak większość rodzin robotniczych a i to nie każdy właściciel chciał takich „niedochochów” lokatorów brać do siebie. Jeszcze w dzieciństwie straciłem ojca, wtedy matka wzięła łopatę, żeby jakoś opędzić się biedzie. Godowała nam na zmiłnę „pięprzową” wodę i komasę z kartoflami oraz inne, podobne „przysmaki”. Później umarł mój brat — jeszcze w kółce, bo nie było pieniędzy na doktora i lekarstwa.

Przy pomocy krewnych, którzy dali na zeszyty, posłała mnie matka do szkoły. W pierwszym i drugim roku przyniosłem czwórki i piątki. Matka miała lzy w oczach, gdy nauczycielka chwaliła moje postępy, wiedziała bowiem, że to się skończy na czwartym co najwyżej oddziale. Ustrój, który nas tak „urządził” miał też swoją konstytucję. Ale matka nie interesowała się nią nigdy. Choć była tam balamutne frazesy o wolności i równości praw, wiedziała tyle, że konstytucja była pisana na naszej skórze, na rzecz posiadaczy okolicznych młynów, tartaków, browarów, dla kupców i slugusów sanacji.

Tuż przed rokiem 1939 matka dostała najbardziej stałą pracę przy budowie tamy na Narwi, która miała niby służyć do zalania Niemców. Znow zabrała na tej pracy kapitał, który wie, czy nie zagranicą. Mówiono przy tej okazji o miłości ojczyzny — a jakże! Choć tam nigdy nie wykończono, a przecież robotnicy pragnęli gorąco zatrzymać nawałę faszystów niemieckich. Wybuchła wojna. Matka nadal pracowała łopatą... na szosie, kupcy nadal szmuglowali z Generalną Gubernacją, spekulanci pedzili bimber. Było straszliwie ciężko, poszedłem więc, ośmieliłem małe na wieś. Pasłem krowy u kulaka dwa lata, a później pomagałem wujowi reperować obuwie. W wolnych chwilach rysowałem i czytałem książki. Marzyłem wtedy o tym, żeby mieć dużo książek i farb oraz jasne mieszkanko. Malowaniem powinienem sobie zarobić trochę, jak to robił mój ojciec. Później chodziłem do kuźni kowalskiej na naszej ulicy i tam za poruszenie miecha mogłem posłuchać, co ludzie mówili o wyzwoleniu, które miało szybko nadejść. No i wreszcie... Nim ochłonęliśmy z radości, już po podwórzu chodził żołnierz z czerwonymi gwiazdami.

Jakaś kobieta wyszła drząc ze schronu z dzieckiem, które zanośnię było do placu. Żołnierz wziął je na ręce, a dziecko poczęło się bawić medalami, tak powitało nowe życie.

Opuściliśmy z matką ostrzeżliwie miasteczko. Nie było gdzie mieszkać,

P OCHODZE z rzeszowskiego, z okolic Kolbuszowej, ze wsi Mechowie. Była to wieś typowej „galicyjskiej nędzy” na piaszczach, przeludniona, o skarlłowaciach gospodarstwach. Wyrabnicy i „zagoniarze” szukali pracy na „Saksach”, we Francji, w Ameryce — byle utrzymać się przy życiu. Komu brakło odwagi zostawał, aby dobić się „zarobku” na folwarku Tyszkiewiczów po 12 groszy za dniówkę. Praca była męczarnią. Wiosną plągnię niewiele odbiegając od sochy, w żniwa siew, przy wykopkach motyka, a w zimie cepy i żarna. Ręk do pracy był taki nadmiar, że „gazdom na hektarach” nie kalkulowało się kupować maszyn.

Wychowałem się w rodzinie średniackiej, stojącej „na pograniczu dwóch biegunów — biedoty i kulaków. Walka o każdy skrawek ziemi, o każdy grosz kryła nadzieję dorobku, a jednocześnie lęk przed „dziedzieniem”.

Z niej wynikały swary sąsiedzkie i ciągłe „prawowanie się”. Zarabiał na tym adwokat, a wciąż powiększająca się rodzina rokowała, że w przyszłości każdy z nas weźmie po hektarze i zostanie... zagoniarzem.

Kiedy wybuchła wojna miałem 6 lat, kiedy nadeszła jesień 1944 roku — 10. Ale pamiętam rudere dawnej karczmy, gdzie przeszedłem 4 oddziały, pamiętam kontyngenty i „Japanki” młodzieży, uwięzienia i rozstrzelania, legendy o partyzantach, szepty o Amerykanach, którzy już idą a potem głośniejsze: Bolszewicy biją Niemców!

W sierpniu 1944 r. sam czytałem, wywieszony na płocie afisz Manifestu Lipowego. I dziwiłem się, że gdy wieś kała mówi „ziemię będą dawać, reformą!”, czyjaś ręka zdardała wielki afisz. Oczekiwałem tych reform, bo miałem w tym osobisty interes, rozczytany na zabój w książkach chciałem uczyć się dalej i czytać sobie nadzieje.

Podświadły się zmiany dla wyobraźni dziecka dwakroć większe, niż dla dorosłych. W 1945 r. synkowie zagoniarzy mówili do mnie z dumą: my też mamy ziemię wielką jaką jak twoją tatę. To folwark w Wierzyń rozdzieleno między formalie i chłopów bez i małorolnych. W pałacu powstało liceum rolnicze. Drugie w Dziwkowcu — w pałacu Botnickich. Ale najważniejszą dla mnie nowiną było powstanie liceum ogólnie kształcącego w Kolbuszowej. 6 kilometrów drogi, mogłem chodzić codziennie do

takiej szkoły, która właśnie kształciła ogólnie. W niej wyczuwałem moją upragnioną, choć jeszcze mglistą przyszłość. W Kolbuszowej powstaje również kurs szkoły średniej dla dorosłych oraz szkoła handlowa. U nas we wsi z subwencji państwa i składek chłopów buduje się szkoła piętrowa, pierwszy murowany budynek w gromadzie. Powstaje sklep spółdzielczy ZSCH, koło ZSCH. Do głosu dochodzą biedniacy, ci, którzy organizowali strajk w r. 1937 i należeli do KPP. Dwaj bracia Bogacze, członkowie PPR dzielą obszar, którą kurs pszczelarsko - ogrodniczy dla młodzieży wiejskiej. Zaś PSL-owcy, szczególnie „stare ludowce” spod znaku Witosa, kulacy, lub przez nich nakreśnieni „działacze” krzyczą na lewo i prawo „Niech żyje Mikołajczyk!”, przebiekają o Andersie.

Poszedłem we wrześniu 1945 r. do liceum w Kolbuszowej wraz z kilkunastu synami i córkami chłopów z mojej wsi (z której dotąd wyszedł tylko jeden ksiądz, jeden organista i dwóch półgimnazjalistów). Przygotowany byłem niedostatecznie do nauki w szkole średniej. Poświęcam więc dni i noce, byle nie zostać w



Redagujemy gazetkę gromadzką

tyle a dotrzeć do pierwszych szeregow. Pamiętam, wtedy już wpada mi w ręce „Więś” a potem „Chłopska Droga”. Kult dla „drukowanego” bardzo mi teraz pomaga, bo dzieją się na wsi i w okolicy ważne sprawy a gazety uczą je widzieć, nazwać i ocenić. Już wówczas zaczynałem liczyć (to po ojcu), ile wyjechało rodzin na Ziemię Odyskane, ile dostało ziemię na miejscu.

Przez ZSCH chłopci otrzymują — pierwszy raz w życiu — nawoży sztuczne, pożyczki na odbudowę, umiżenie długów przedwojennych. I moja rodzina otrzymuje pomoc państwa na budowę domu (o czym, gdy przed wojną marzyliśmy, ojciec mawiał: dom, to cztery morgi, choćby za chałupą spaliła, to nie puszczyć ziemi, bo przepadniemy z kretemsem).

Do ostrych starć dochodzi w okolicy podczas Referendum w 1946 r. i po nim, po klęsce „zielonych”. Mnie, małcowi średniackiemu, otwierają się oczy. Gębacz mikołajczykowski judził ludzi przewrotną sofistyką „uni chcą rewolucji a my

spokojne chłopcy ślachtetnej demokracji”. A tu po ich zdemaskowaniu w Referendum, po klęsce w wyborach... padają zabici w nocy dwaj bracia komuniści, których moja dziecięca pamięć złączyła na zawsze z dzieleniem ziemi, z zakładaniem szkół rolniczych w pałacach w Dziwkowcu i Wierzyń, z budową murowanej, piętrowej szkoły w naszej wsi. Posypały się z kulackich zakamarków „wyroki śmierci”, rozpowszechniły ciężkie pobicia. Ograbili oni spółdzielnię ZSCH, w walce z nimi padł komendant powiatowy MO. Ale już wiosną 1947 r. wytopiono w lasach pod Mielcem NSZ-owską bandę i ujęto pod sąd ludu.

Po zjednoczeniu organizacji młodzieżowych, we wsi nie było Kola. Starzy wiarze przychili, nadochdziła pora na młodych, najmłodszych. W 1948 r., mając 15 lat, wraz z kolegami organizuję zespół sceniczy, wystawiamy sztuki a potem zakładamy Kółko ZMP. Z Zarządu Pow. ZSCH otrzymaliśmy trochę książek i materiałów świetlicowych, trochę zakupiliśmy z przedstawień.

To co nabywam w liceum, staram się (codziennie wracając na wieś) przekazać młodzieży w gromadzie, tak, jak moi najlepsi koledzy, Sera-

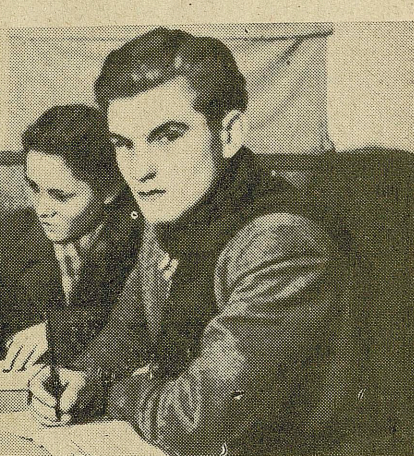


Foto E. Goławska

fin Julian i Sądaj Władysław. Upowaszniamy i wprowadzamy z kolegami na wieś zdobyte rewolucji — książki, gazety, piłkę, sztukę o aktualnej tematyce wiejskiej („Wesele Jagny”, „Gospodar — to ja”, „Kozie mleko” itp).

Przyjaźni z kolegami z liceum i ze wsi, zrodzona w pracy wspólnej, hartuje mnie i zachęca do coraz śmielszych działań.

Staje się korespondentem „Nowej Wsi”, „Standardu Młodych” i „Nowin Rzeszowskich”. Pierwsza notatka (jeszcze w r. 1947), piętnowała bandytów, którzy zrabowali naszą spółdzielnię. Potem trzymałem się bardziej spraw młodzieżowych, z nich prace świetlicowe ośmieliły mnie do zabrania głosu w sprawach literackich, we „Wsi”, np. o sztuce Warmińskiego, w „Nowej Kulturze” o nowej satyrze.

Koledzy, z którymi pracowałem w kole nie zagrali długo w domu — kilkunastu jeździe do szkół SPP, kilkunastu w r. 1949 i 50 do Nowej Huty i Stalowej Woli. Nowa szkoła w naszej gromadzie stała się ośrodkiem życia kulturalnego i społecznego wsi. Powstał stały dziedziniec, gabinet pomocy naukowych z fizyki, geografii, przyrody, biblioteczka szkolna, drużyna harcerska. 6 sil nauczycielskich czuwa nad wychowaniem i nauką młodego pokolenia chłopów. W r. 1950 w okolicznych wioskach powstają spółdzielnie produkcyjne, w Wierzyń potem w Roniowie. Kulacy sięją wrogą plotkę i agitację antyspółdzielczą. Ale spółdzielnie rozwijają się, a maszyn z SOM-u w Dziwkowcu i prywatnie, udostępnione nam i średniololnym chłopom po ustalonych cenach, robią swoje. Nikt już nie rżnie sierpem, nie młóci cepami, Gromada układa plan melioracji gruntów, produkuje w gminie w skupie zboża. Sołtysiem jest małorolny chłopok Oko St., dobrze pracując komorka partyjna i koło ZSCH.

W r. 1951 uzyskuje bardzo dobre świadectwo maturalne, a potem przez trzy miesiące pracuję w 28 brig. SP na Śląsku, przy budowie kolei. Docigam od 250 do 350% normy.

Wprost z roboczego kolektywu, ze współzawodnictwa pracy przybyłem na wstępny egzamin na wyższą uczelnię. Przyjeżdżam do Warszawy, że mam wielki obowiązek. Dostałem miejsce w domu akademickim i stypendium. Organizacja wysłała mnie już na kurs naukowy w Międzygórzu w grudniu 1951 r., otacza opieką i pomocą naukową. Redakcja literackiego pisma, gdzie próbowałem pierwszych kroków, też czuwa nade mną, uczy i wspiera. Im większą znanąję opieki, tym mocniej uświadamiam sobie, jak dużo winienem zrobić, aby z marzeń dziecięcych i pragnień młodzieńszych wydobyc to, co zasługiwałoby choćby w ulamku na miano twórczości.

Nie waham się już, średniacki syn, ale skrzepienia każdy potrzebuje, tym bardziej im na większą waży się czyn. Te otuchę czerpię z Konstytucji, w której odczytuje każdy rok mego życia, każdy szezebel mego awansu i rozwoju oraz cel, do którego jestem powołany tak, jak każdy w republice ludu pracującego „prawem, honorem i obowiązkiem”.

Leszek Bakuła

Bronisław Gołębowski

MARIA JANION

Na marginesie Plenum ZLP

„DOPIŁY WY” KRYTYKI LITERACKIEJ

BOJOWE hasło „krytyk w terenie” po raz pierwszy w sposób stanowczy sformułował, szeroko omówił, teoretycznie uogólnił Tadeusz Borowski, którego publicystykę cechowała właśnie owa żarliwa pasja stawiania najbardziej sztywnych zadań przed bieżącą działalnością literacką. Pisał wtedy: „Bo krytyk nie odrywa się od biurka, od seminarium, od zakładu naukowego. Bo żyje książkami. A rzadko upada mu do głowy pojechać w teren, posiedzieć kilka tygodni w różnych środowiskach, pociągnąć, poobserwować na własną rękę”. Dziś już możemy mówić w pewnym sensie o „historycznym” rozwoju problemu, możemy się postawić — niewielką co prawda — ilością wypowiedzi, sporów, obserwacji, a przede wszystkim — pewnych uogólnień praktycznych. Zawołanie, które miało pobudzać i gromadzić wszystkich krytyków „z prawdziwego zdarzenia”, znalazło swe odbicie w artykułach sprawozdawczych z akcji terenowych krytyków (Matuszewski, Leopoldowa), w sporze, jaki się toczył o ich uprawianie i obowiązki w terenie, wreszcie — na łamach „Wsi”, która już od dawna stworzyła specjalny typ akcji krytycznej, polegający na częstym publikowaniu wypowiedzi masowego czytelnika, na wykorzystywaniu w recenzjach i artykułach materiału ocen i obserwacji dostarczonego przez teren, na stworzeniu szerokiej sieci korespondentów terenowych, zainteresowanych zagadnieniami literackimi. Na ostatnim Plenum ZLP, poświęconym problemom współczesnej krytyki literackiej, sprawa ta uzyskała również właściwe, chociaż niezbędne, bogate oświetlenie, a Komisja Krytyczna, powołana przez Plenum przy Zarządzie Głównym ZLP, jedno z swoich licznych zadań upatruje właśnie w sondowaniu szerokiej opinii czytelnicy i kontaktowaniu krytyki z odbiorcą.

W okresie, kiedy problem „krytyka w terenie” zajmował uwagę czasopism literackich, starło się kilka różnych stanowisk w tej sprawie, ujawniły się charakterystyczne „przeglęcia pałki”. Przeglądając owe sprawozdania się głównie do pomniejszania roli marksistowskiej

go wykształcenia krytyka, oparowania przezeń bogatej wiedzy o rzeczywistości, szerokiego odczytania, doskonałej znajomości literackiej tradycji narodowej na rzecz wąsko pojmowanej „terenowości”, wyłącznego czerpania znajomości przedmiotu z wyjązków na wieś czy do fabryki. Była to swojego rodzaju pochwała żywiowości bez uznania przodującej roli świadomości w „procesie krytycznym”. Poglądy te otrzymały — nikłą wprawdzie — odprawę na ostatnim Plenum. Dlatego też sprawozdawca „Nowej Kultury”, sumując jego wyniki, mógł napisać: „Odrzucono błędną koncepcję zrównania „terenowych” obowiązków krytyki i pisarza”. Oczywiście, na tym oczyszczeniu pola nie kończy się całe zagadnienie. Stoi obecnie przed nami konieczność wyczerpującego opracowania i praktycznej realizacji wielostronnych, rzeczowych, przemysłowych, „kontaktów krytyki z terenem”.

Postulatów i propozycji jest w tym zakresie wiele: — uczestnictwo krytyków — krótsze lub dłuższe w terenowych akcjach kulturalno-oświatowych i propagandowych, w konkretnej agencji politycznej, pisanie reportaży z życia kulturalnego zakładów pracy (praktyka „Życia Literackiego”), wykorzystywanie obserwacji terenowych „organizatorów kultury” (bibliotekarzy, kierowników świetlic), troska redakcji o rekrutację młodej kadry krytycznej z ludzi pochodzenia robotniczego i chłopskiego i użytkowania ich szerokiego doświadczenia życiowego, wreszcie — umiejętne spożytkowanie w praktyce krytycznej korespondencji terenowej, opinii masowego czytelnika. Oczywiście — na tym nie wyczerpuje się lista możliwości, można by jeszcze długo ciągnąć. Idzie o naprawdę szeroką, kierowaną i planowaną przez redakcję i Komisję Krytyczną ZLP — realizację tych zadań teoretycznych, o pozostawienie za sobą etapu głoszeniowych zapewnienia i deklaracji.

Realizacja praktyczna nie może przebiegać „od okazji do okazji”, nie może też napotykać na opory krytyków, którzy mimo frazeologicznych deklaracji — w głębi duszy są przekonani, że artykuł o współczesnej książce można napisać — i to bardzo dobry — bez tzw. „opinii terenu”. Trzeba właści-

szych utworach nowych pisarzy”. Czytelnik z 1945 r. nie miał jeszcze oczywiście sięgnąć po książki radzieckie.

Dzisiaj niebezpieczeństwo zamknięcia się masowego czytelnika „w obozie klasyków” zostało już całkowicie zażegnane. Pojawiały się liczne utwory, pokazujące świat rzeczywisty. Głosy z terenu żarliwie domagały się nowych książek o współczesności: „Chciałbym przeczytać jeszcze książkę na temat przetrwania wsi z indywidualną w zespole” (W. Bobek, Kosior, w „Białystok”), „Książki chciałbym czytać takie jak „Kawaler Złotych Gwiazd”, gdyż są zachęcające i pouczające” (St. Korolczuk, Szyndler, w „Sępólnie”), „Najwięcej twórczych myśli dają książki, mówiące o zagadnieniach powstawania pierwszych kolchozów na terenach, gdzie toczyły się najcięższe walki z kontrrewolucją” (St. Kiszko, Zbiczno, pow. Brodnica).

Chciałbym bardzo przeczytać książki marksistowskie, w których umieszczona jest prawda” (Z. Czwartkiewicz, Tropa, pow. Rzeszów). (Korzystam z materiałów „Konkursu Czytelników Bibliotek Wiejskich”, zorganizowanego przez Zarząd Główny ZSCh). Literatura realizmu socjalistycznego staje się własnością milionowych rzesz czytelników. Ich wypowiedzi wytyczają nie tylko słuszne postulaty ideowe i artystyczne pod adresem powstających książek; ich wypowiedzi przynoszą niejednokrotnie bezcenny materiał poznawczy, jasną i szeroką ocenę bieżącej produkcji literackiej. Pokazują one, jaką rolę odgrywa nowa literatura w najwęższym procesie naszej współczesności — w procesie kształtowania się narodu socjalistycznego. I dlatego „fachowa” krytyka współczesna nie może nie włączyć w obręb swych rozważań tych niezwykle wartościowych połączonych w całość z książkami i o rzeczywistości.

Utarło się ostatnio powiedzenie, że dopływy literatury realizmu socjalistycznego, to przede wszystkim pamiętnik chłopów i robotników, autobiografie przedstawicieli mas ludowych. A jakie są „dopływy” współczesnej krytyki literackiej, znajdującej się także na pozycjach realizmu socjalistycznego? To właśnie

głosy z terenu, opinie masowych czytelników, ludzi pracy, którzy bezkompromisowo oceniają, co im pomaga w kształtowaniu świadomości socjalistycznej, a co brudzi. Zle byłoby z krytyką, gdyby jej opinie nie bazowały, nie czerpały soków żywotnych, nie opierały się na tych właśnie podstawowych rzeczach krytycznych.

Czy istotnie te niefachowe, nieprecyzyjne stylizowane, „prymitywne” i „naiwne” opinie terenowe w czymkolwiek mogą pomóc? Czy wspaniałe essay krytyczne musi być konieczne „obciążenie” powoływaniem się na często niezgrabne, niefachowe wyroki masowego czytelnika? Czy nie należy tego traktować jako niewygodnego haraczku na rzecz wymogów „współczesności”? Ostatecznie wielka krytyka istnieje już setki lat, a czyż Saint-Beuve, Dembowskiego lub Dobrolubów twierdził, iż ta i ta opinia literacka natchnęła ich czytelnik z Rychnowa? Takie i im podobne pytania nierzadko budzą w nas wątpliwości, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, na czym polega i jak się osiąga „przedstawicielstwo” opinii szerokiego masu, jak się zdobywa zaszczytne miano krytyka-ideologa i polityka. Mickiewicz kiedyś pisał, że najszybciej dla niego nazwa to „żołnierz sprawy narodowej”, że chciałby, aby tak właśnie go określano. Dzisiaj — najwyższe miano dla krytyka, to „żołnierz sprawy socjalizmu”. Droga do tych pozycji prowadzi poprzez związek z ideologią marksizmu — leninizmu, z naszą Partią, z walką o socjalizm, z życiem współczesnym. Jednym ze środków umocnienia i ugruntowania tych więzi jest dla krytyki silny i nie-rozerwalny kontakt z terenem, umiejętność korzystania — nawet w drobnych szczegółach — z bogactwa ocen i obserwacji literackich ludzi socjalizmu.

Przykłady, które już dzisiaj potwierdzają słuszność powyższych twierdzeń, są liczne i przekonujące, a do naszych zadań — należy je wielokrotnie pomnożyć. Chciałabym kilka z nich przytoczyć.

Pierwszy — z zakresu umiejętnego spożytkowania w krytyce opinii „terenu”. Autorka recenzji z po-

wieści lotewskiej Willisza Lacisa, A. Bartszewicz (Wies), nr 51 z ub. r.) na podstawie opinii czytelników ze spółdzielni produkcyjnej potrafiła sprostować, niestety, czysto „książkowy” i „biurkowy” sąd innego recenzenta, który bohatera książki uznał za „tragicznego samotniczego społecznika” w stylu Zeromskiego. A czytelnicy potrafili wyłożyć silne powiązania bohatera ze środowiskiem wiejskim i to właśnie ich głównie w tym rozkomym „samotniku” ujęło i oczarowało.

Drugi — z zakresu konieczności orientacji krytyki w najżywszych zainteresowaniach ideowych i literackich „terenu”. Przeczytajcie o „Opowieści bukowinowej” Muratowa przez S. Skulskiego („Wies”, nr 1 z b.r.) pt. „Polemizuję z delegatem amerykańskim”. Zobaczyć, jak trafnie wychwycił on polityczny problem książki, sprawdzić, co czytelnika masowego najbardziej interesuje. W tym wypadku jest to problem rozbić mitu, że w każdym ustroju, każdy silny i wytrwały człowiek może się dobić szczęścia.

Trzeci — z zakresu troski redakcji o rekrutację kadr krytycznych z młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Przeczytajcie recenzję młodego polonisty pochodzenia chłopskiego T. Murasa pt. „Jak rosną nowi ludzie” („Wies”, nr 3 z b.r.). Zobaczyć, jak konkretna wiedza o życiu współczesnej wsi pozwala głęboko korygować autora opowiadań, podsuwać mu słuszniejsze polityczne rozwiązania.

Są to przykłady, które nie pretendują do miana, ani najdoskonalszej, ani nawet zadowalającej roboty krytycznej. Ale początki są często trudne i nieporadne. Oczywiście, nie idzie o to, aby wszystkie recenzje zaczynały się od sakramentalnej formułki: „Czytelnicy spółdzielni produkcyjnej w... stwierdzili, że...”. Czy postępujemy się mechanicznie innymi, podobnymi zabiegami. Dlatego podkreślam problem „umiejętności” korzystania z terenu, konieczność stworzenia szerokiej sieci możliwości w tym zakresie. Bo przecież zależy nam wszystkim głównie na tym, aby recenzji było jak najwięcej „dobrych i różnych”.

Maria Janion

ANNA KAMIENSKA

Jakiej powieści chciała wieś przed 6-laty

PIERWSZA bodaj po wojnie sonda badająca stan i warunki czytelnictwa na wsi była zorganizowana w r. 1946 ankietą „Wsi” o temat sformułowany dość szeroko: „Jakiej powieści chce dziś wieś”. Takie sformułowanie tematu ankiety umożliwiło znaczną różnorodność i oryginalność wielu nadesłanych wypowiedzi (123). Pochodziły one przeważnie od działaczy młodzieżowych i gospodarczych, choć brało także udział w ankiecie wielu indywidualnych starszych „książkożerców”, młodzieży, kobiet. Załączone do wypowiedzi życiorysy zwiększały sprawdzalność społecznej ankiety. Najszerszą klasowo grupę stanowili wśród uczestników ankiety chłopcy małorolni. Nie mamy zamiaru w tej chwili wracać do tego nieaktualnego pod względem etapu przedsięwzięcia kulturalnego w sensie jakichś spóźnionych podsumowań czy wniosków, mimo że w okresie owym znaczenie ankiety dla rozwoju czytelnictwa na wsi mogło być duże i że nie została ona w pełni — nawet w sensie badawczym — wykorzystana.

Chcemy po prostu przeglądać dziś rocznik „Wsi”, w którym ciekawie listy na temat czytelnictwa zamieszczono, przypomnieć pewne sprawy w jakiś sposób dziś jeszcze aktualne i ciekawe, podzielić się z czytelnikiem wrażeniami na nowo odczytanych, a tak zawsze pasjonujących listów z terenu, które są jak rozmowy z coraz nowymi, ciekawymi i w jednym błysku odsłaniającymi nagle swą prawdziwą — ludzka.

Te listy — rozmowy na temat literatury przeprowadzane były w okresie, kiedy wieś po koszarach okupacji budziła się do nowego życia, do nowego ustroju — w ramach przeprowadzonej reformy rolnej. Ta świadomość przełomowych czasów towarzyszy wszystkim korespondentom ankiety. Czują się w tonie ich wypowiedzi jakieś silne ożywienie umysłowe i jednocześnie wielką ciekawość rzeczy, które nadchodzą. Niezależnie od oficjalnej krytyki literackiej, niezależnie od przemian ideologicznych w środowisku pisarskim, które zresztą nastąpiły znacznie później — uczestnicy ankiety „Wsi” formułowali na swój sposób aktualne dziś postulaty pod adresem literatury, oceny literatury klasycznej i współczesnej pod kątem jej społecznej przydatności.

Sformułowanie tematu nie przewidywało od ocen i do badawczego ujęcia problemu, mimo to większość wypowiedzi przedstawiała mniej lub bardziej dokładnie zakres dzieł

literackich stanowiących podstawę sądów wsi o literaturze. Podstawę tę tworzą przede wszystkim dzieła Sienkiewicza, potem polskich realistów krytycznych: Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego, Orkana, Reymonta. Według relacji starszych chłopów, działaczy ruchu ludowego w spisie lektury wsi widnieją jeszcze obok uniwersalnego kalendarza i gazety, książki i broszury religijne i pisane specjalnie „dla ludu”. Tytuły tych książek podane przez jednego z piszących są znamienne: „Co to we wsi być może”, „Uczciwemu Bóg pomaga”, „Szczęście tylko w ojczyźnie”.

Sienkiewicz jest przeważnie tym pisarzem, który otworzył oczy na świat książki. Na podstawie Trylogii, a nie „Chłopów”. Reymonta wieś ubierała swoją opinię. W kształcie zbliżonym do sienkiewiczowskiej Trylogii widziała swoje marzenie o chłopskiej współczesnej epopei. Nie brak jednak głosów krytycznych na temat Trylogii Sienkiewicza. Pisze ktoś z uczestników ankiety, że w Trylogii nie było nic dla chłopów — „unosili się w niej duch szlachecki”.

Reymont w ujęciu naszej ankiety potraktowany był o wiele krytyczniej. Razil w nim naturalizm, szczegółowość opisu, „babranie się” w brudach życia. „Co tam jest prócz wspaniałych obrazów natury, żywej postaci i piękna, masowego zrywów? Jest tam bydlęca walka, na rogi i pazury, z ojcem o gospodarke, to borynawo borykanie się przy krzywdzie Józki i uwidzianej dziewczki — i to trwa przez cały boży rok”. Podobne rzeczy nie podobają się w Orkanie: „Chłop nie lubi czytać świństw o sobie”, a tymczasem obraz chłopaka Orkana jest w swoim naturalizmie przejawskrawny. „Oto kmiotek grubowargi z obwisłymi policzkami nad miedzą barszczu, oto kmiotek zaglądający przez okno do izby, gdzie odbywa się zebranie, oto ten sam zawierający drzwi — podczas gdy jego sąsiad długimi krokami pędzą do bliskich sobie na daleki koniec wsi, by długo w zimową noc gwarzyć o chłopskich swoich dumaniach. Kmiotek patrzy na niebo i stwierdza, że mróz na dworze i syt i zadowolony zaniepokojenie swoje istnienie w betach na przykład, gdzie przez lata cale sypia snem sprawiedliwego. Czego on chce? Ano tej michej pełnej, juści, bo czegożby więcej...”. Na szczęście dostrzeżono też coś więcej w powieściach Orkana, Franecka Rakoczego bohatera powieści Orkana „W rozłokach”, wymieniany jest jako wzór życiowy obok Judyma i Slimaka, „Dlatego, że i

ja od najmłodszej młodości ten sam bunt przeżywałem w sobie co on, te walki młodego pokolenia ze starszym pokoleniem, walkę ze wszystkim złem, wstępnictwem i ciemnotą, która do tej pory po naszych wioskach istnieje”.

Do tych pisarzy — klasyków realizmu piszących o wsi, dołącza się prawie wszędzie, gdzie mowa o literaturze poznanej, nazwisko Jana Wiktor. Twórczość jego ocenia ankieta przeważnie pozytywnie, ale nie bez przygany, brzmiejącej np. w takich pochwałach: „Książki Wiktor — przytacza jeden z piszących zdanie chłopca swego rozmówcy — przypominają mi naszą nauzyckielkę — takie to ładne, ciekawe i skromne, a nieba by chłopki przychylili radę. O sprawy wsi troszczy się jak o swoje szczęście, a jak do człowieka przemówi, to kiejbyś miodu liźnął — tylko w niej dobroci i słodyczy”. Gdzieśindziej krytykuje się wprost ten sentymentalizm i kłiki humanitaryzm powieści Wiktor.

Współczesnych książek, jakby wieś nie znała. Wymienia się rzadko Wincentego Burka, Jana Kurka, Stanisława Piętaka — to wszystko. Co prawda współczesnych powieści o wsi jeszcze w literaturze naszej w 1946 roku nie było, a z powieści powojennych, opisujących martyrologię lat wojny, opinia wsi wyrzynała się ku nowej literaturze, mówiącej o pokoju, o pracy pokojowej, o pokonywaniu trudności, o dążeniu do nowych form życia. Sformułowania wychowawczej roli literatury są w ankiecie tak celne, że mogłyby być przeważnie powtórzone dzisiaj. Odpowiadając na pytanie „jakiej powieści chce dziś wieś” wiele odpowiedziało: powieści głębokiej ideologicznej, zdolnej oddziaływać i przeorywać dusze ludzkie dla nowego życia. Prawda, świadomości i wyobraźnia, dla tych nowych form życia, rozdziła się powoli i nie zawsze pracowała w słusznym kierunku. Wielu np. z piszących wyobrażało sobie „postęp” jeszcze mechanicznie na modłę „postępu” w ustroju kapitalistycznym, podając za wzór dobrobyt takich krajów kapitalistycznych jak: Dania, Szwecja, Norwegia. Zławsza starsi chłopci nie rozumieeli istoty rewolucji, zbyt często jeszcze brzmiały w ich wypowiedziach tony koncepcji agrarystycznych, niedocenienie roli przemysłu w nowym ustroju, jakieś nieprzezwyciężone poczucie niższości, przejawiające się w mniemaniu, że chłop jest ciągle dużym dzieckiem, któremu trzeba dać do rąk jakąś specjalną książkę. Z drugiej zaś strony zjawia

się wyraźnie korygowanie tematu ankiety. Piszący bowiem nie chodzi o to, jakiej powieści chce wieś, ale jakiej powieści chce i potrzebuje społeczeństwo, naród polski.

Niemniej, mimo tej niepełnej świadomości rewolucyjnej, piszący mówią o ideologicznym głodzie literatury. Wieś spodziewa się od literatury upewnienia: „czy procesy dziejowe, które ta wojna wywołała i przyspieszyła, są już nieodwołalne, czy też to tylko zwyczajny chaos powojenny”. W tym zdaniu znakomicie określona została postawa chłopca po reformie rolnej, po tym niepełnym jeszcze etapie rewolucji.

Tego wyjaśnienia procesów historycznych żąda od literatury czytelnik wiejski pisząc: „słusznie jeden z parcelarzy, co ziemię otrzymał z reformy rolnej w Zajeździ, pow. lipnowskiego powiada mi: „Gdy szliśmy na Kijów, to generałowie, ministrowie i panowie ziemię nam obiecywali, a teraz przyszedł taki sam jak i ja, w robotniczej bluzie, działość mi wymierzył i mam ziemię”. Jak to się stało? Oto skróć historię i rewolucji zawarty w tym jednym pytaniu skierowanym pod adresem literatury.

Wszyscy bez wyjątku uczestnicy ankiety opowiadali się wyraźnie za realizmem w metodzie i stylu powieści oraz za typowością przedstawianych w niej wydarzeń i ludzi. Co prawda, nie wszyscy rozumieją należycie pojęcie realizmu. Są wypowiedzi polemizujące z metodą realizmu, ale z toku tej polemiki wynika, że chodzi im raczej o naturalizm, który zwalczają. „Powieści, żeby należały spełniały swoje zadanie, nie może być migawkową grą wyimaginowanych fantazji, nie mających nic wspólnego z życiem, lecz wziętym z życia wiernie odtwarzającym, lecz mającym mocniejszą tonację konturów obrazem. W pożądaną powieść nie może życie bohaterów ułożyć się zbyt łatwo, muszą być częstokroć wielkie trudności życiowe i gorzkie zawody, a często nawet przed samym celem droga się zawali i wszystko jakby zostaje stracone, bo tak przecież bywa w życiu. Ponad wszystkim jednak musi dominować silny charakter postaci i nieugięte ich postępowanie w dążeniu do celu”.

Ciekawie i plastycznie dochodzi jeden z piszących do pojęcia typowości w literaturze realistycznej. Wychodząc od „Młodego pokolenia chłopów”, która to książka wydała mu się „najpiękniejszą powieścią”, dochodzi do wyobrażenia takiej powieści, która od zbiorowej książki żywciorów będzie do-

skonałsza o element kompozycji i artyzmu. Ale pisana będzie jakby przez wielu ludzi, których przeżył złożeń się na szeroki, barwny obraz życia. „I to obraz prawdziwy, taki jaki jest, prosty bez ozdobek, bez upiększeń bez złudzeń, choć z dodatkami fantazji zdrowej, czy humoru. Obraz życia będzie bogaty w szczegóły, widziany z dala, z góry... z różnych wysokości, oczyma ludzi stojących na różnych stopniach cywilizacji”. Z realizmem i typowością łączy się nierozdzielnie pojęcie pozytywnego bohatera. Kim zaś ten bohater o silnym charakterze i nieugiętym postępowaniu w dążeniu do celu, jeśli nie bohaterem pozytywnym? Słusznie po bohaterach wieś sądzi powieści, odrzuca je, gdy bohater jest jej obcy, przyjmuje gdy jest bliski, swój, gdy zawiera w sobie i ucieleśnia jej ważne dążenia. Piszący omawiający bardzo dokładnie, że szczegółami, postacią pozytywnego bohatera, jego dzieje, prace społeczne, nawet życie rodzinne. „Bo bohaterami powieści — pisze ktoś inny — powinny być typy mocne fizycznie i duchowo, nieustępliwie w walce o byt, zdecydowane do walki o ideały, o szeroki horyzont patrzenia na świat”.

Bohaterem powieści nie musi być — rzecz jasna — chłop. „Chcę poznać wieś klasy robotniczej w jej warstwach i fabrykach, w jej dążeniu ku lepszym warunkom bytowania” — pisze inny. Jedną z kobiet — uczestniczek ankiety — domaga się powieści, której bohaterką byłaby kobieta wiejska. Byłaby to kobieta — społeczniczka, kobieta „zorganizowana”, która „nie siał pod kądziela, jak nasze prababki za czasów pierwotnych, plując resztkami ślin w palce”, lecz kobieta przyszłości, która nienawidzi zaoferania i ciemnoty.

Z wielu wypowiedzi naszej ankiety, wynika już, o czym wspomnieliśmy, ogólna tęsknota do wielkiej epopei, która by w wymiarach historycznych ukazała przeszłość klasy chłopskiej, jej uciemiężenie, bunt i zryw, jej rolę w ustroju Polski sanacyjnej, następnym meczem i walkę z okupantem faszystowskim, następne zaś rewolucję i nowe nadchodzące życie. W tej tęsknocie do epopei chłopskiej wspaniale wyraził się historyzm zainteresowań chłopów, poczucie przeżywania przełomu historycznego. „Moja powieść — czytamy — powinna uwzględnić przede wszystkim ten historyczny moment przełomowości naszych czasów, to kruszenie się starych form bytowania społecznego i krystalizowania się nowych form, te rozdrożność charakterów

ludzkich. Powinna, będąc powieścią społeczną — odznaczać się głębokim spojrzeniem w historię — społeczne procesy ludzkości i swego narodu”.

Mówimy dziś wiele o schematyzmie. „Schematyzm” — to oczywiście co innego niż „schemat”, to ograniczenie schematu, to nieumiejętność wypełnienia schematu życiowego ludzka, prawdziwą treścią. W projektach powieści wysuwanych przez uczestników ankiety „Wsi” mieliśmy gotowe schematy powieści. Niektóre raziły swoją naiwnością, wiele z nich było odczytaniem schematu typowej powieści kapitalistycznej — powieści o dobroku, lub o indywidualnym awansie w systemie kapitalizmu, wiele schematów krociło śladami historii ostatnich lat, były zaś takie, które wytyczały drogę bohaterowi pozytywnemu realizmu socjalistycznego, które wskazywały typowości, optymizmu, perspektywę zwycięstwa wyprowadzając po prostu oficjalne nasze postawienie problemu realizmu socjalistycznego.

Literatura radziecka później utworzyła sobie drogę na wieś, już po roku 1946. Kilka wypowiedzi jednak kieruje się ku tej literaturze, ku wspaniałemu rozwojowi współczesnej powieści radzieckiej, która jest powieścią o chłopie i o uczonym, powieścią dla chłopów i dla uczonych. Wśród poznanych pisarzy radzieckich pada nazwisko Szolochowa. Uczestnicy naszej ankiety w 1946 roku nie wiedząc o tym dochodzili z wielu stron do jednego problemu. Do powieści realizmu socjalistycznego. Z późniejszych lat mieliśmy wypowiedzi chłopów na temat konkretnych poznanych już powieści radzieckich. W tych głosach czuliśmy się już daleko poza atmosferą mglistych postulatów ankiety z 1946 roku. Wiele krytycznych głodów i tęsknot tu znalazło zaspokojenie. Przyszły także polskie współczesne książki o wsi i o klasie robotniczej. Jak zostały przyjęte? Jak są oceniane przez masowego czytelnika na wsi? Odpowiadamy na te pytania otrzymujemy już w bardziej powszechnym zakresie od bibliotekarzy, wydawców, działaczy oświatowo — kulturalnych na wsi i indywidualnych czytelników. Słędzenie opinii czytelników na temat bieżącej produkcji literackiej — to obok ścisłych problemów krytyki literackiej, którym poświęca się Plenum Związku Literatów — drugie kapitalne zagadnienie warunkujące stan i dalszy rozwój naszej literatury.

Anna Kamińska

TADEUSZ MURAS

W sprawie czytelnictwa i bibliotek

1951 rok był rokiem wielkich osiągnięć w dziedzinie czytelnictwa. Wystarczy wskazać na masowe i tanie wydawnictwa przy gazetach partyjnych i na formy rozprowadzania książek: przez kolporterów przy zakładach pracy, przez kiermasze, czy urzędy pocztowe. Wystarczy wskazać na ilość bibliotek i punktów bibliotecznych na wsi, których ilość osiąga już 32 tysiące z ilością tomów przekraczającą 4 miliony. Wystarczy wskazać na odbywający się konkurs dla czytelników bibliotek wiejskich, w którym w I etapie wzięło udział około 3000 zespołów i 727.000 uczestników indywidualnych. Można wręcz wskazać na wydawnictwa dla czytelnika wyzwolonego z analfabetyzmu, np. „Biblioteka żołnierza”, „Książka nowego czytelnika” itd. Ale mimo wielkich osiągnięć czeka nas wciąż jeszcze wielka praca w organizowaniu sieci bibliotek, aby książka docierała w sposób zorganizowany i stały choć do połowy polskich wiosek. Wszak nawet spółdzielnie produkcyjne nie wszystkie posiadają punkty biblioteczne.

W specjalnej sytuacji w zakresie czytelnictwa znajduje się wieś, bo jeśli idzie o środowiska robotnicze, są one zaopatrzone w dość gęstą sieć biblioteczną, bądź to po linii Rad Narodowych, bądź to po linii związkowej. Dużą rolę odgrywa tu również kolporterzy „Ruchu”, których ilość w samej Warszawie sięga tysiąca. W zakresie porady dla czytelnictwa pierwszorzędna rolę odgrywa dobór pozycji poszczególnych wydawnictw, jak również atmosfera miast, skupiających szkoły średnie i wyższe, gdzie ucząca się młodzież pełni rolę czytelnika i reklamującego najcenniejsze pozycje literackie.

*

W roku 1952 akcja upowszechniania czytelnictwa na wsi winna — moim zdaniem — zrealizować kilka zadań podstawowych.

Pierwsze zadanie to świadome rozszerzenie bazy czytelnictwa wśród **małorolnych**. Rewolucja proletariacka na wsi opiera się — jak głosi leninowskie hasło — na biedniakach. W walce z kulakami i w pracy nad pogłębieniem sojuszu ze średniakami proces **kulturalnej emancypacji biedniaka** musi być wzmacniany w stopniu coraz większym. Zauważanie, brak wiedzy, nieśmiałość — to społeczno-kulturalne obciążenia, jakie jeszcze gnębią małorolnych, jakich jeszcze w pełni nie strząsnęła biedota — otwierają przed akcją czytelnictwa wielki i ważny front walki.

Drugie zadanie to uczynienie z ośrodków socjalistycznej gospodarki na wsi (spółdzielnie produkcyjne, POM-y, PGR-y) również **produkcji ośrodków socjalistycznej kultury**. Chłopi ze wsi indywidualnie gospodarujący winni tu znaleźć wzór nowego człowieka, styl nowego życia, podbijający nowymi namietnosciami, ped do wiedzy i kultury. Nie można tych dwu zadań odrywać w socjalistycznych ośrodkach: budowy nowej bazy do rozwoju nowej naddubowy. Dają one pełnię dopiero w całości najmocniej przekonywująca chłopów indywidualnych, dają one pełnię rozwoju samemu zespołowi, ugruntowującemu socjalizm na wsi.

Trzecie zadanie. Nie można akcji upowszechnienia czytelnictwa ujmować wąsko, obciążając ją i kontrolując tylko przez instytucje do tego specjalnie powołane. W terenie bowiem to wielkie rewolucyjne zadanie o granicach, których się nie da określić — do bibliotek, naukowców i amatorów, jacy organizują zespoły czytelnictwa. Nie można oddzielać i odrywać akcji czytelnictwa od pracy **politycznej i gospodarczej**. Wszak typowy podział każdej biblioteki w terenie obejmuje trzy grupy książek: beletrystykę, polityczną i społeczno i techniczno-rolniczą wydawnictwa. W powieściach odbijają się sprawy, o jakich naukowo i publicystycznie traktują dwie pozostałe grupy. Trzeba zatem, aby podnoszenie kultury (poprzez czytelnictwo) stało się sprawą polityczną, sprawą rewolucyjną dla wszystkich działaczy i aktywistów w terenie. Wielokrotnie stwierdzamy, że działalność polityczna nie jest czytelnictwem w literaturze z zakresu, podobnie bywa z gospodarczymi. Praktyk — hodowca czy plantator, kierownik grupy kontraktacyjnej, członek komisji w GRN i PRN winien przodować w czytelnictwie fachowym, winien być jego propagandzistą.

Czwarte zadanie to przygotowanie kadr bibliotekarzy i świadomych propagatorów czytelnictwa wśród działaczy terenowych.

Jedną ze szczególnych spraw, jakie składają się na to zadanie, stanowiła stała informacja o książkach, potrzebna dla bibliotekarzy i tych wszystkich, którzy organizują zespoły czytelnictwa, wreszcie dla samego czytelnika — chłopca.

Na temat tego zagadnienia słów kilka...

*

W „Poradniku Bibliotekarza”, czasopiśmie przeznaczonym dla użytku kierowników małych bibliotek w terenie, często w korespondencjach proszą bibliotekarze o ob-

szerniejsze recenzje z książek, jakie przychodzi im najczęściej ludziom polecać. Ale „Poradnik Bibliotekarza” nie jest w stanie sprostać zapotrzebowaniu na recenzje o wszystkich książkach, choć umieszcza po kilka recenzji z najnowszych książek i prowadzi kronikę recenzji i artykułów o literaturze, jakie ukazywały się w danym okresie w czasopiśmie bibliotekarskich. Podaje również bibliografię do zagadnień, z którymi bibliotekarz spotyka się w nadchodzącym sezonie. Prowadzi także bogaty dział informacji techniczno-organizacyjnych, co stanowi wielką pomoc dla bibliotekarzy.

Dużą usługę w terenie oddać może również czasopiśmo „Nowe Książki”, wydawane przez dział informacyjny Komisji Wydawniczej przy Radzie Państwa. Ale czasopiśmo to do bibliotek gminnych nie dociera. Jego nakład 15.000 egzemplarzy jest zbyt mały, żeby zaspokoić zapotrzebowanie dotychczasowe i zaopatrzyć w nie bibliotekarzy na wsi. W dodatku w zakresie informacji o literaturze pięknej nie spełnia swego zadania nawet w części. Lepiej natomiast ma rozwinięty dział informacji o literaturze popularno-naukowej i politycznej.

W zakresie informacji o zawartości dzieł literatury pięknej pracuje niedocenione wydawnictwo „Wiedzy Powszechnej”. „Dobra książka — Informator dla czytelników”. Jedyni, którzy docenili to wydawnictwo, to gimnazjaliści i licealiści (niezwykle mało studentów). Uznali je za pierwszorzędne brzyki. Książeczki te na kilku, kilkunastu stronach zawierają życiorys autora z wykazem jego najważniejszych dzieł, informacje o epoce, w której żyje i działa autor i w której dzieje się akcja książki, najważniejsze problemy utworu, zagadnienia do dyskusji i bibliografię.

Z książeczek tych nie korzystają bibliotekarze w terenie. Przede wszystkim dlatego, że nie docierają one do tych placówek. Cały nakład rzucający jest do sprzedaży miejskiej i rezultat taki, że gdy pierwsze 30 numerów wydawano w 20.000 egz., następnie 26 numerów już w 10.000 egz., obecnie tylko w 5.000. Gimnazjaliści ma wygodę, bo nie potrzebują czytać wielkich dzieł Prusa, Szołochowa i Balzaka, a bibliotekarz w terenie boryka się dalej z trudnościami. Książki te są pomyślane jako informator dla **poszczególne czytelnika**. Mają one za równo reklamować dzieła jak i pomóc czytelnikowi znaleźć zrozumieć problemy utworu, a nawet nauczyć czytelnika samodzielnie oceniać książki. Przedstawiają to, jeżeli nie będzie ściśle połączone z jakąś zorganizowaną formą pracy nad czytelnikiem, przyniesie pożytek jedynie uczący się młodzież.

Dlatego rzucam propozycję pod adresem wydawnictwa i instytucji, którym podlegają biblioteki terenowe, aby „Dobra książka” wydawać w ilości, odpowiadającej ilości przewidzianych placówek bibliotecznych w terenie i redagować tak, żeby mogły służyć bibliotekarzom, jako pomoc w ich pracy. Wymagałoby to jednak kilku (niewielkich zresztą) zmian w redakcji tych broszur.

Przed wszystkim należałoby zmienić „Zagadnienia do dyskusji” i dostosować do wymagań najliczniejszego czytelnika, tzn. czytelnika z wykształceniem podstawowym.

Weźmy np. zagadnienia do dyskusji z książki „Mikołaj Wirta i jego powieść pt. „Samotność” (Dobra książka nr 33).

„1. Przeciwnieństwa klasowe na wsi. Siła i słabość chłopów w walce o sprawiedliwą przebudowę społeczną na wsi.

2. Metody walki kulaków z rewolucją.

3. Pomoc klasy robotniczej w organizowaniu chłopów do walki z kulactwem. Rola Partii bolszewików.

4. Jakie czynniki decydują o przynależności klasowej chłopca.

5. Droga dojrzewania ideologicznego biedoty wiejskiej i średniego chłopstwa (na przykładzie bohaterów powieści).

6. Walka o socjalistyczną przebudowę wsi w Związku Radzieckim i u nas”.

Zagadnienia te, jakkolwiek wybrane skrupulatnie i słusznie nie nadają się do wykorzystania przez bibliotekarza lub prowadzącego dyskusję w zespole czytelników. Są one zbyt ogólne.

W dyskusji między ludźmi ze wsi należy wyjść raczej od **sprawy szczegółowych**. Najlepiej od określonych wydarzeń z akcji książki, obrazujących jakieś ważne i aktualne w tym środowisku zagadnienie.

W nr 42 „Dobrej Książki” „Marcin Andersen Nexö i jego powieść „Pelle Zwycięzca” — pytanie czwarte „Dlaczego Pelle nie był zwycięzcą?” już odpowiada tym wyzwanom. Ale pozostałe pytania są znów za ogólne. Np. pytanie pierwsze: „Walka klasowa na wsi duńskiej w latach 1877 — 1905” nie nadaje się do dyskusji. Ale kilka pytań takich, jak: „Dlaczego tata Lasse porzucił gospodarstwo?” lub „Dlaczego Pelle z ojcem nie mogli odejść od Kongotrupa?” i wiele innych pozwoliłoby omówić te wydarzenia, doprowadzając do głębszego zrozumienia walki klasowej na wsi.

Tadeusz Muras.

TADEUSZ ALEKSANDER JASIŃSKI

PIERWSZE RADY

(Fragment powieści)

KONIE biegły szybko, jednak równym kłusem. Mijali właśnie Nielub. Bryczka turkotała po bruku. Na odgłos turkotu, mimo wczesnej pory, z dworskich chałup wyrywały się głosy. W oborze krowy rzyły tak głośno, jak gdyby nie były nakarmione od kilku dni. Czyżby i tu ludzie zastrajkowali, jak na innych majątkach?

Jadących bryczką trzęsło niemiłosiernie. Na szczęście odcięte szosy brukowanej ciągnął się tylko około 200 metrów wzdłuż zabudowań majątku. Od Nielubia do Wąbrzeźna ciągnęła się już gładka kamienno — żwirowa szosa. Górzynski palił fajkę a Kasyna kłówał koni. Nie mówili wiele do siebie, tylko rozmyślał o czymś usilnie. Mówił o tym ich zaspokojeniu i poważnym twarze.

Po obu stronach szosy rozciągały się duże pola nielubskie, słabo widoczne z powodu mgły, zieleniejące się świeżą pszenicą i żytem. Za nimi były pola z niewykopanymi jeszcze ziemniakami, burakami cukrowymi i pastewnymi. Na grodach leżała poprzekrywana łłmami z powodu przymrozków wyrwana już brukiem. Należało ją tylko pozwozić do kopców. Roboty, jak z tego widać jeszcze dużo, ale na polach nie ma żywej duszy. Listopadowe dni, mimo że pogoda była jeszcze łagodna, kazali spodziewać się silniejszych mrozów. Poranna mgła opadała powoli. Była tak gęsta, że na kilka kroków przed sobą nie było widać. Był to zwykły listopadowy poranek. Nie można było nawet wynioskować, czy nastąpi dzień pogodny, czy też deszczowy.

Wjechali z gładkiej szosy na brukowane ulice przedmieścia Wąbrzeźna. Po lewej i prawej stronie unosiła się gęsta mgła nad powierzchniami obu jezior. Przed nimi zaczęły się wyłaniać z mgły domy ulicy Chelmińskiej. W górze, nieco na lewo, sterczała pod niebem wieża kościoła katolickiego. Minęli rynek, kościół ewangelicki i wjechali na ulicę Kolejową. Konie i bryczkę zostawili w zajezdni i wyszli na ulicę. Mijało ich wielu ludzi, spieszących, jak gdyby ich kto gonił. Rytm życia miejskiego onieśmielał ich nieco. Kroczyli obok siebie, nie spiesząc się. Przed piekarniami i sklepami miernymi stały tłumy ludzi. Zaopatrzenie ludności w artykuły pierwszej potrzeby było nadzwyczaj słabe. Wojska niemieckie, czując naderżającą klęskę rabowały wszędzie tam, gdzie jeszcze coś do zrabowania zostało. Ale te drobne grabieże dałyby się jeszcze odczuć najmniej. Największą szkodę czyniły masowe rabunki na rozkaz dowódcy niemieckiego. Podlegało im przede wszystkim zboże i trzoda chlewna. Dziedziące gospodarze polscy i niemieccy początkowo otrzymywali w zamian pieniądze, później pokwitowania, których wartość nigdy nie została zrealizowana. Przepełnione transporty zboża i żywności kierowano na zachód, do Cesarstwa. Dlatego widzieli tylu ludzi okupujących sklepy.

Pragnęli zasięgnąć języka w sprawie Rad, ale nie znali tu nikogo. Minęli trzech mężczyzn z czerwonymi kokardkami na kłapach płaszczy.

— Słuchajcie! Może to oni, odezwali się Kasyna.

— Nie wiem! Ale chyba ję, odpowiedział Górzynski. Przecież czerwone, to robotniczy kolor!

— Gdy będzie szedł jeszcze ktoś z kokardką, to go zaczepimy! Co?

— Myślę, że ję! Innej rady nie ma.

Do szedł do rynku i zawrócił. Naprzeciw nich szedł trzydziestoletni

może, barczysty mężczyzna. Na piersiach mundur marynarski miał czerwoną kokardkę. Mimo zimnego poranku szyję miał gołą. Piersi pod marynarką przysłaniała cienka koszulka w poprzeczne czarne paski. Na głowie miał czapkę z napisem „Kiegsmarine” *).

Kasyna spostrzegł się zbyt późno. W ostatniej chwili zorientował się, że to chyba nie Polak.

— Proszę pana, czy...

Ale rozpoczęte zdanie trzeba było już dokończyć, bo marynarz zatrzymał się i patrzył na nich pytająco.

— Proszę pana — zaczął znowu — czy pan może wie, czy w Wąbrzeźnie jest już Rada Ludowa i gdzie ona się mieści?

Twarz marynarza wyrażała zaskopowanie. Kasyna czuł się również strasznie głupio, bo teraz już upewnił się, że się pomylił. Chciał już przeprosić go po niemiecku, gdy marynarz uśmiechnął się i powiedział:

— Fragen sie, wo ist „Rada Ludowa”, ja? Wen ich gut ihnen verstanden habe? Sonst ich verstanden blouss die zwei wörte polnisch**). Roześmiał się rozbrajająco.

Górzynski i Kasyna potwierdzili, że dobrze zrozumieli i że oni go również dobrze rozumieją.

Marynarz uśmiechnął się jeszcze raz przyjaźnie i zaproponował, że ich zaprowadzi do lokalu Rady. Rozmowa toczyła się już teraz w języku niemieckim.

— Jesteście ze wsi, jak mi się zdaje? zapytał ich marynarz.

Potwierdzili mu.

— Ja właściwie też. Urodziłem się na wsi. Moi rodzice mieli małe gospodarstwo, a dzieci dużo. Gdy trochę podrosłem, poszedłem do miasta, do fabryki. A u was na wsi już macie Radę? — zapytał ich.

— Jeszcze nie, ale chcemy stworzyć, odpowiedział Górzynski, który nabrał do marynarza zaufania, już po kilku wypowiedzianych przez niego zdaniach.

Kasyna szarpnął go ostrzegawczo za rękaw.

Marynarz ciągnął dalej:

— Tak, macie słusność, Rady trzeba tworzyć! Jeżeli mi nie weźmiemy się w kupa, to burżuje nam pokażą, gdzie grzyby rosną.

Kasyna i Górzynskiego dziwiło to, o czym im mówił. Nie mogli zrozumieć, co marynarz myślał przez słowo „my” i „burżuje”. Znaczenie słowa „my”, rzecz jasna rozumieli, tylko nie wiedzieli, czy odnosi się ono wyłącznie do Niemców albo do Polaków, czy też do jednych i do drugich. Ze słowem „burżuje” nie spotkali się jeszcze nigdy.

— Oni tylko czekają na naszą słabość. Nasi w Berlinie walczą z nimi, tam w sercu mojej Ojczyzny, a my musimy wszyscy razem tutaj dać im radę. Burżuje są wszędzie ci sami. Obojętne, czy noszą polskie, czy niemieckie nazwiska. Zawzięci będą przeciw robotnikom chłopom. My musimy być przeciw nim, bo rozdepczą nas jak pluskwy i znowu zamienią w wóły roboty!

Gdy mówił, oczy jego pały dziwnym blaskiem. Równocześnie twarz wyrażała wielką nienawiść do wrogów ludu. Było widać, że sprawie rewolucji oddał się całym, że był zdolny bić i gromić wrogów, a całować i ścisnąć przyjaciół. To nowe w narodzie niemieckim niezmiennie dziwiło Ryńszczan. Dotąd spotykali się z pychą z ich strony, z chęcią panowania nad Polakami. Niemcy nie liczyli się z tym, że oni chcieliby też mieć swoją Ojczyznę. Tylko taką, w której byłaby sprawiedliwość.

mają się mocno. Na Ukrainie Niemcy już się cofają. Na ich tyłach już też rewolucja. Podobno robotnicy i chłopci idą tam razem. Nie patrzajcie! Ukrainiec, Polak czy Żyd. Tylko szlachta polska podobno przeciw nim walczy. Nawet Niemców do pomocy bierze.

— Dla nich, odezwali się robotnik w poszarpanej kurtce, każdy kto pójdzie z nimi przeciw nam, to przyjaciel. Dlatego ja się boję, czy do tego samego tutaj nie dojdzie. Od pełnego koryta nikt dobrowolnie nie odchodzi.

— Więc tak jak mówię, ciągnął blondyn, sytuacja jest niezwykle dogodna. Sieć „Rad” obejmuje szybko gminy. Chłopi posłuszni z nami. Są głodni ziemi, a bieda myśli ich



Rys. H. Jarosz

Zegnął się powiedział:

— Po południu o pierwszym urządzamy wiec. Przyjeżdżajcie! Nasz towarzysz z walczącego Berlina. Nazywa się Hinz. To nasz człowiek — z lewicy. Niezależny Socjaldemokrata. Spartakusowiec. Jeżeli macie ochotę, to przyjdźcie! Dobrze?

— Może bym przyszedł, powiedział Górzynski, ale gdzie to się odbywa?

— Po waszemu w „strzelniczy”. O tam! Też na Kolejowej.

Silny uścisk dłoni wyrażał więcej jak zrozumienie wspólnego celu, o którym im tyle mówił. Wyrażał on przyjaźń. Uśmiechnięci rozeszli się.

„Marynarz kilka razy obejrzał się za wchodzącymi do Rady. Przyjaźny uśmiech roześmiał mu twarz. Odpowiedzieli mu tym samym.

2.

W „Radzie” nie było jeszcze wielu ludzi. Była zbyt wczesna pora. W poczekalni czekało kilku chłopów i chłopek oraz spotkali na ulicy trzech robotniczy z czerwonymi kokardkami. Ściany były udekorowane białą — czerwonymi chorągiewkami. Na jednej ze ścian wisiał biały orzeł na czerwonym tle, namalowany najprawdopodobniej przez kogoś z młodych talentów malarskich. Wyglądał trochę niezgrabnie. Obramowanie jego stanowiły stare złotawe ramki. Najprawdopodobniej mieścił się w nich do niedawna jeszcze Bismarck albo Wilhelm II.

Trzej robotnicy rozmawiali z ożywieniem. Wszyscy wokół przystawali się im w wielkim zainteresowaniem.

— A ja ci mówię, przekonywał jeden z nich, brunet, odwracając się do robotnika w poszarpanej kurtce, że jak sam się nie upomnisz o swoje prawa, to nic z tego nie będzie.

— Trzeba siłą, dodał blondyn.

— Towarzysze! Przecież ja wcale nie mówię, że nie, ale czy to jest odpowiednia chwila? Czy aby nie za wcześnie?

— Teraz albo nigdy, ciągnął dalej brunet. We wszystkich miastach aż kipi, takie wrzenie. A na wsiach chłopci też myślą, jak z panami skończyć. Już nie jeden dziedzic po głowie dostał!

— Wygląda na to, mówił blondyn, że tak samo prawie w całej Europie. W Rosji bolszewicy trzy-

nauczyła. Trzeba ich tylko zorganizować. My na dole to widzimy, a ci na górze w Poznaniu. Korfanty, Seyda i inni nie mieliby tego widzieć? Ja myślę, że widzą, tylko obawiają się tak samo rewolucji, jak burżuja. Dają tylko głosowe hasła: Ojczyzna, Wielka Polska, solidarność społeczna wszystkich Polaków itd. Jakby nie dostrzegali istnienia klas. Do „Rad” chcą nam teraz wepchać „przedstawicieli wszystkich warstw społecznych”, uważacie? A więc burżujów, dziedziców i drobniomieszczaństwo, czerwone od dnia wczorajszego. Każdy rozumny robotnik wie do czego to musi doprowadzić. Towarzysze z Arbeiter und Soldaten Rat to też dostrzegają i mówią, że u nas może dojść do unieszkodliwienia działalności Rad od wewnątrz, a w końcu do ich likwidacji.

— Jeszcze do tego dojdzie, powiedział brunet, że będą chcieli nas pokonać z niemieckimi towarzyszami. Oni wiedzą, że jak się lud weźmie do czego razem: Polak, Rosjanin, Węgier, Austriak czy Niemiec, to musi zwyciężyć i swoją wolę im narzucić. To jest, towarzysze, niebezpieczna historia. Robotników jest mało, bo uprzedmiotowienie na Pomorzu słabe i ani my, ani chłopci nie jesteśmy dobrze zorganizowani. Partii u nas nie ma, a z środkową Polską łączność jeszcze nie nawiązana.

— Tak, sytuacja jest trudna, chociaż jak mówicie równocześnie niezwykle dogodna, powiedział ten w poszarpanej kurtce. Jesteśmy mimo wszystko zbyt słabi, żeby utrzymać Rady, wyłącznie w naszych rękach. Na polu walki może byłoby silniejszy, a tu w obrachdach gabinetowych nie damy im rady. Wepchną się na siłę. O! Powiedzą, że zdradzamy naród, ojczyznę, że idziemy razem z Niemcami i bolszewikami. Zaczyna szerzyć propagandę antykomunistyczną, aby przeprowadzić swoje! Zobaczycie! Będą mieli do swojej dyspozycji pieniądze, ambone i konfesionat.

Przecież nie wszyscy myślą o Polsce takiej, jak my! Takich, jak my jest mało! Jeszcze bardzo mało! Reszta myśli po prostu: grunt, że będzie Polska. Ale jaka, albo kto będzie w niej rządził, o to nikt się nie przejmie. A przecież to nasi ludzie, tylko nie są jeszcze uświadomieni. Mogą jeszcze ich wykorzystać przeciw nam!

— Masz słusność, potwierdził blondyn. Ludzie oczekują tej Polski z upragnieniem i kochają ją tak bardzo, jak tylko może swą ojczyznę kochać prawdziwy patriota. A przecież nikt z nas jej nie pamięta. Dla nich Polska oznacza zniesienie wszystkich krzywd i niesprawiedliwości oraz lepszą, spokojną przyszłość. Tyle lat na nią czekają, że się nawet nie ma czemu dziwić. „Niech tylko będzie Polska, a wszystko samo przez się będzie dobre”. Nie rozumieją, że prawdziwą, sprawiedliwą Polskę, w której by było tak, jak oni pragną, może tylko wywalczyć lud. Ze trzeba przegonić bogaczy i oddać ich dobra narodowi. A widziecie, jeszcze nie wszyscy to rozumieją i to jest nasza słaba strona. Trzeba będzie uświadamiać i walczyć o to, aby...

Drzwi się otworzyły i z pokoju wyszedł jeden z robotników.

— Słuchajcie, towarzysze! — zwrócił się do chłopów. — Czy u was w gminach są Rady?

— Nie — odpowiedzieli prawie równocześnie — my akurat w tej sprawie przyjechali, odezwali się Kasyna.

Tadeusz Aleksander Jasiński.

*) Marynarka Wojenna.

**) Pytacie się gdzie jest „Rada Ludowa” tak? Jeżeli was dobrze zrozumiałem? Bo ja tylko rozumiem te dwa słowa po polsku.

W republice ludu pracującego



Haberko Marianna — członkini spółdzielni produkcyjnej w Łobzowie, amina Dużec, pow. Olkusz, odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.



Drobiarka Cecylia Pierun CAF — fot. Baranowski

CAF — fot. Jorochowski.

ANDRZEJ SKIBA

MELVIN BEAUNEARUS TOLSON

U źródeł amerykańskiego imperializmu



NI ma chyba i nie było państwa na kuli ziemskiej — po za jednym, krótkotrwałym wyjątkiem. Trzeciej Rzeszy — gdzie niedotrzymanie zobowiązań należało do tak stałych i niezmiennych zjawisk jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Jedynie odchylenie stanowią wewnętrzne stosunki panujące wśród możnych świata amerykańskiego; wielkie trusty i monopole, polcja i gangsterzy, kardynał Spellman i Departament Stanu dotrzymują układów zawartych pomiędzy sobą. Ale tylko pomiędzy sobą. Poza tym Amerykanin i jego kraj dotrzymuje umów wówczas jedynie, gdy musi, albo gdy jest to dla niego wygodne. Przykładów najjaśniejszych dostarczają stosunki międzynarodowe. Cała, niemal bez reszty, polityka zagraniczna USA — to dzieje niedotrzymywanych i łamanych układów.

Po ogłoszeniu Doktryny Monroe, która miała na pozór izolować kontynent obu Ameryk od zgubnych oddziaływań reakcyjnych mocarstw europejskich, związanych „Świętym Przymierzem” — niektóre państwa Ameryki Łacińskiej, biorąc tekst deklaracji dosłownie i na serio, widziały w tym instrumentie zabórco coś w rodzaju płaszcza opiekuńczego, narzuconego przez potężniejsze państwa na ramiona słabszych. Nie można brać im tego za złe, skoro i dziś jeszcze osławiona doktryna — pierwowzór Trumanowskiej — tak bywa przedstawiana, skoro nawet wśród publicystów lewicowych pokutują gdzieś takie przekonania — może z powodu nadzbyt powierzchownego wniesienia w zagadnienie. Słowem, wysnuwając logiczne, ale naiwne wnioski, państwa owe zapropowały w Waszyngtonie zawarcie, w ramach Polkuli Zachodniej, układów wzajemnej pomocy. Ówczesny sekretarz stanu, a późniejszy prezydent, John Quincy Adams z oburzeniem sugestia te odrzucił. Rzecz jasna wszelki taki układ utrudniałby gwarantowi dokonywanie agresji wobec państw gwarantujących. Stany Zjednoczone wołały zachować pełną swobodę w interpretacji doktryny.

A czyniły to w najbardziej nieraz karkołomny sposób. Tak więc Teodor Roosevelt w 1904 r. ogłosił się na jej podstawie ni mniej, ni więcej, tylko „Policjantem Obu Ameryk”. Dosłowna formuła brzmiała jak następuje: „Zwłaszcza, że naruszanie interesów stron trzecich może uczynić w Ameryce konieczną interwencję państwa cywilizowanego. Stany Zjednoczone, stojąc na stanowisku Doktryny Monroe, mogą się uznać za zmuszone w wypadkach koniecznych do sprawowania funkcji policji międzynarodowej”. W trzydziście siedem lat późni jego wielki imiennik, Franklin D. Roosevelt zajął Grenlandię, powołując się również na Doktrynę Monroe.

Agresję planowały sfery kierownicze USA od chwili swego powstania. Już w trakcie sojuszu z Francją, zawartym 6.II.1778, czyli jeszcze przed osiągnięciem niepodległości Stanów, znalazła się klauzula rezerwująca im „prawo” podboju Kanady. Słynny „Zakup Luizjany” w roku 1803 — terytorium znacznie rozleglejszego niż cały podówczas obszar USA — oraz podbój Florydy nie obyły się bez zastosowania mactwa, jakich niepowstrzymałyby się intrzygantka, wykształcona na Macchiavelim, dyplomacja starych europejskich monarchii. Znaczący tu, że Luizjanę kupił USA od Francji nie mając pieniędzy, a cenę kupna uścił już w czasie wojny anglo-francuskiej, zaciągając pożyczkę w Londynie i ziołem angielskim spłacając wojującego z Anglią Napoleona.

W czasie wojny St. Zj. z Meksykiem — r. 1848 — prasa „liberalna” stanów północnych pisała (i jakże słusznie): „Wie o tym cały świat, że Meksyk został napadnięty i że grabieżcą jest nasz naród. Meksyk jest Polską Ameryki. Wstępowanie do wojska, czy też uchwa-

lanie choćby jednego dolara na prowadzenie tej wojny jest zdradą moralną przeciwko prawom człowieczeństwa. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych bije choć jedno serce godne wolności amerykańskiej — jego pierwszym odruchem powinien być pęd do złączenia się z Meksykanami i do wyparcia nieczemnych, niewolniczych najmitów najedźczy”.

Ale wiemy skądinąd, że ten szlachetny idealizm podyktowała wyłącznie obawa, aby aneksja połowy Meksyku, jaka niebawem nastąpiła, nie wzmogła nadmiernie wpływów politycznych plantatorów feudalnego Południa ze szkodą dla rozrastającego się właśnie w tym czasie, przemysłowego, kapitału Północy. Prezydent Polk, reprezentant Południa, nosił się nawet z myślą za garnięcia całego terytorium Meksyku i, kiedy jego wysłannik Nicholas Trist, wobec zaakceptowania przez rząd meksykański wszystkich warunków kapitulacji, podpisał rozjem — Polk nazwał go „bezczelnym i niebawym lajdakiem”. Spodziewał się bowiem, że Trist okaże się lajdakiem „bywałym” i w myśl życzeń prezydenta zerwie rokowania, co pozwoli na dalsze prowadzenie wojny i podboju. Metody, nieudolnie stosowane dziś w Pan Mun Dzon, były wypraktykowane jak widzieliśmy w sposób o wiele doskonalszy gdzie indziej. W przeciwieństwie do Polka północni Jankesi — kapitaliści uważali, że najpierw trzeba złamać przewagę gnijącego feudalizmu, a potem dopiero wstąpić na drogę niebawem ochrzczonego mianem **Niczybnego Przeznaczenia** (Manifest Destiny) Stanów Zjednoczonych. Podobnie było z Doktryną Monroe: spełniała w praktyce rolę zapory ideowej rezerwującej całą Półkulę Zachodnią dla ekspansji, coraz bardziej dynamicznego kapitału USA.

Tak wyglądały pierwotny polityki agresywnej USA. Późniejsze jej losy koleje były logicznym ich rozwinięciem. Po I-ej wojnie światowej Stany Zjednoczone odwróciły się pozornie od Europy i, chroniąc się za parawaną mądrości „Ojców — Założycieli” republiki, odrzuciły traktat wersalski i pakt Ligi Narodów, pograżając się w pozorna „splendid isolation”. Nie przeszkodziło to organizowaniu różnych form hooverowskiej i innej „pomocy”, za którą kraje „obdarowane” musiał płacić ich własne sumy wazyl z lichwiarskimi procentami. W tym czasie monopole amerykańskie konsolidowały swoją pozycję wewnątrz kraju. Wzmocnione i fantastycznie wzbogacone przez wojnę przystąpiły do wielkiego ataku na związki zawodowe i prawa robotnicze. To co się dzieje na tym odłuku obecnie, jest tylko wzmocnioną repliką wydarzeń z lat dwudziestych. Fala reakcji zalała cały kraj. Okres ten znamionuje niezwykle rozrost Ku Klux Klanu, masowe aresztowania robotników, raidy policyjne organizowane przez osławionego prokuratora generalnego Palmera, mogące zawstydzić swym „rozmacchem” Sławoja Składkowskiego i jego „chłopców gołędzinowskich”, mordowania sądowe, jak słynna zbrodnia popełniona na Sacco i Vanzettim, wmożone nasilenie linczu. Pamiętajmy, że z Ameryki do Europy przywędrowały nie tylko kartofle, pomidory i tytoń, ale również liczne instytucje i metody faszyzowskie.

Równolegle z tym i korzystając z osłabienia Anglii i Niemiec, USA przystąpiły do ostatecznego podboju gospodarczego Ameryki Łacińskiej i Kanady.

Granice wyłącznej sfery wpływu swego kraju zakreślała polityka USA zawsze w zgodności z sła i kierunkiem ekspansji kapitału USA. Najpierw, gdy monopole tworzyły się i wyrastały, terenem tym był rynek wewnętrzny; od schyłku ubiegłego stulecia — Półkula Zachodnia i Daleki Wschód. Obecnie zaś granice biegną od bagna do bagna, ekspansja usiłuje objąć wszystkie kontynenty globu. Nie jest to oczywiście monopol. Wysockie cia ochronne, pozostawiając czasami zupełnej niemal samowystarczalności, dzś są anachronizmem, zakładającym tylko sprawność działania machiny eksportowej St. Zj. Takich przykładów możemy przytoczyć więcej.

Nie zmien'a to zasady ogólnej. Wszędzie gdziekolwiek sięgnął imperializm dolarowy, składnikami czynionemu — otwarcie agresywnemu — towarzyszy składnik bierny — ów powszechny na pozór, sielankowy i pacyfistycznie nieraz udrapowany pozorny izolacjonizm, stanowiący w rzeczywistości najbardziej drażliwą, cenną i zachłanną odmianę nadbudowy ideologicznej monopolistycznego kapitalizmu.

Taka jest treść istotna tego osławionego pojęcia, bez względu na to, czy szermują nim w swych hasłach wyborczych Republikanie, czy znajduje wyraz w Kongresie, w sposobie głosowania Demokratów Południa, czy wreszcie służy za narzędzie szantażu i presji politycznej i gospodarczej w stosunkach międzynarodowych.

Andrzej Skiba

CZARNA SYMFONIA*)

I. ALLEGRO MODERATO

Czarny Crispus Attucks
Uczył nas umierać
Jeszcze nim zdołał biały Patrick Henry
Wzniesie przejmujący,
Niebotyczny okrzyk:
„Dajcie mi wolność, albo dajcie mi śmierć!”

Pariasi z aukcyjnych hal,
Czarni i mooni,
Rzuceni na ofiarny despotyzmu stos
Trwali pojąc się wiara,
Co równoważy złó,
I w braterstwie oczyszczał się najniebezpieczniejszy los.

Już żaden Banka duch
Nie wstanie przeciw nam
Zdawna ukrzyżowanym u boku łotra,
Oraczom zhańbionych ziem,
Twórcom złupionych dóbr,
O skroniach cierniem chciwości uwiecznionych.

II. LENTO GRAVE

Odwieczny pałós naszych głosów
Przygnębia wielki biały świat.
A czarnoksiężstwo naszych smutnych rytmów
Wyczarowuje duchy kolonialnych lat.

Czarni niewolnicy śpiewają JESZCZE JEDNA RZĘKA
W katowniach niewolniczych stątków.
Czarni niewolnicy śpiewają UCIECZKĘ DO JEZUSA
Karczącą bagniste dżungle.
Czarni niewolnicy śpiewają UKRZYŻOWANIE
Na niewolniczych galeriach o północy.
Czarni niewolnicy śpiewają PŁYN CICHÓ LÓDZI MIŁA
Na pokładzie śmierci,
Czarni niewolnicy śpiewają ZNIJDZ MOJESZU
Na plantacjach Faraonów Południa.

III. ANDANTE SOSTENUTO

Każą nam zapomnieć
Golgotę naszej drogi,
Nam, napiętnowanym,
Wyjętym spod prawa...
Ci co w kajdany nas skuli
Żądają od nas pieśni,
Ci, którzy nas zniszczyli
Żądają pochwały Zła.

Każą nam zapomnieć
Ze Demokrację zhańbiono,
Każą nam zapomnieć
Ze prawa Człowieka spalono.
Trzysta lat trwa niewola
A jeszcze nie znać kresu,
Ciało i krew się buntuje,
Lecz nam każą zapomnieć!

O, jakże możemy zapomnieć
Ze ludzkie nam prawa zabrano,
Zapomnieć że człowieczeństwo
Nasze ukrzyżowano?
Gdy Sprawiedliwość gwałci,
Prośbę witając przekleństwem,
Gdy bramy Wolności zamknięte,
Jakże możemy zapomnieć?

IV. TEMPO PRIMO

Nowy Murzyn przemierza Kontynent
Krokami olbrzyma...
Nowy Murzyn,
Który wziął pęczątek
Z mocarnych trzewi
Nata Turnera, męczennika za wolność,

Josepha Cinquez, Czarnego Mojżesza buntu w Amistad,
Fredericka Douglassa, wyroczni człowieka cichej wiary,
Sojournera Trutha, oka i ucha legionów Lincoln'a,
I Harriet Tubman, ratowniczkę spragnionych wolności.

AIME CESAIRE

Kolonizatorzy*)

WIDZĘ jasno szkody, jakie wyrządza kolonizacja. Wiem, że niszczyła wspaniałe cywilizacje indiańskie i wiem, że ani Deterding ani Royal Dutch, ani Standard Oil nie umniejszą mi żalu po Aztekach i Inkach.

Widzę jasno zgnębienie cywilizacji krajów takich, jak Oceania, Nigeria, Nyassa, którym kolonizacja zaszczerpiła zarzek zniszczenia i rozkładu. Mniej jasno natomiast dostrzegam, co przyniosła pozytywnego.

Bezpieczeństwo? Kultura? Sprawiedliwość? Jak dotąd, wszędzie, gdzie spotykają się z sobą twarzą w twarz kolonizatorzy i ludzie skolizowani, dostrzegam siłę, brutalność, okrucieństwo, sadyzm, wzajemne ścieranie się, a w miarę nowe formacje kulturalnych — ich parodie, pośpieszną fabrykację kilku tysięcy poślednich urzędników, służby tubylczej, rzemieślników, handlowców i tłumaczy niezbędnych dla dobrego biegu interesów.

Pomiędzy kolonizatorem a skolizowanymi nie ma miejsca na inne kategorie stosunków i pojęć, jak tylko pańszczyzna, zastraszanie, uciśki policyjny, podatki, kradzieże, gwałty, przymus i wyzysk gospodarczy, pogarda, nieufność, zarożumiałość, pycha, brutalność, zdegenerowane elity i masy poniżonych.

We wszystkich tym ani śladu jakiegokolwiek zbliżenia człowieka do człowieka, a tylko stosunki władzy i poddaństwa, zmieniające kolonizatora w żandarm, strażnika więziennego i pagniaacza, a krajowca w narzędzie produkcji.

Teraz na mnie kolej położyć znak równania: kolonizacja — dehumanizacja.

Słyszę jak na te słowa zrywa się burza protestów. Słyszę zapewnienia o „postępie”, o „osiągnięciach”, o „uleczonych chorobach” i „podwyższeniu poziomu życia”.

Ja zaś mówię o wyciutych ze swej wewnętrznej treści społeczeństwach, o strutowanych stopami najeźdźcy kulturach, o podciętych tradycjach, zagarniętych ziemiach, unicestwionych arcydziełach sztuki, o zdławieniu ogromnych możliwości rozwojowych.



Rzuca mi się w twarz fakty, statystyki, kilometry szos, kanałów, dróg kolejowych.

Ja zaś mówię o tysiącach ofiar pochłoniętych przez Kongo-Ocean, mówię o tych, którzy w chwili, gdy piszę te słowa, wybierają reżymy ziemie pod teren portu Abidżanu. Mówię o milionach ludzi, których gwałtem pozbawiono ich bogów, ich ziemi, ich obyczajów, ich bytu — ludzi, którym wydarto przemocą ich radość, ich własny sposób życia i myślenia.

Roztacza się przede mną cyfra tonażu eksportowanej bawełny i kakao, hektary oliwek i winnic.

Ja zaś mówię o rozkładzie gospodarki dostosowanej do warunków miejscowej ludności, mówię o wyniszczeniu kultury rolnej, o systematycznym niedożywieniu, o kierowaniu rozwojem rolnictwa wyłącznie pod kątem korzyści dla metropolii, o rabowaniu produktów i surowców.

Słyszę przechwałki, że położono kres nędzy.

Ja też wspomnę o nędzy, choć po to, by jednak, aby powiedzieć jasno, że w miejsce dawnych — bardzo znacznych — wprowadzono nowe — budzące obrzydzenie! Słyszę, że poskromiono dawnych miejscowych tyrantów; stwierdzam jednak, że porozumieli się oni na ogół doskonale z nowymi i że w wielu wypadkach zwachali się z nimi, tworząc zgrany szajkę, działającą zgodnie na szkodę ludu.

Mówi mi się o cywilizacji, ja zaś mówię o pauperyzacji i klamstwie.

Każdy mijający dzień, każde nadużycie prawa, każda represja policyjna, każde utopione we krwi żądanie robotników, każdy zatuszowany skandal, każda ekspedycja karna, każdy wóz pancerny, każdy Moch i każdy policjant uczą nas bronić społeczeństwo niszczonych przez imperializm...

A więc, towarzyszu, twymi butnymi, zdecydowanymi i konsekwentnymi wrogami będą nie tylko sadyści gubernatorowie i krwawi prefekci, nie tylko fanatycy w

Nowy Murzyn
Obala bóstwa swych potwarców
I łamiąc znowu milczenie,
Przemawia do SWOJEJ Ameryki:
„Przodkowie moi, twórcy dziejów,
Pierwsi pszenicę siali na tej ziemi,
Budowali okręty, by zdobyć Siedem Mór,
Wzniesli Imperium Bawełny,
Spięli kolejami pół ziemskiego globu,
Dobili rudy żelazne i węgiel,
Przebili góry, mosty rzucili przez rzeki,
Zbierali ziarno i trzebili lasy,
Strzegli Trzynastu Kolonii,
Zatkneli sztandar na biegunie północnym,
Stoczyli tysiąc bitew za Republikę”.

Nowy Murzyn,
Jego dłońe olbrzyma wnoszą mury wspaniałych gmachów,
Jego Sztuka uczy świat płakać i śmiać się,
Jego głos Braterstwem Pracy grzmi,
Jego wiedza siedem cudów stwarza,
Jego twórczość jest dla wrogów wyzwaniem.

Nowy Murzyn,
O twardych mięśniach, z sercem co tętni Demokracją
I nienawiścią faszyzmu,
Zmierz krokami olbrzyma
Szlakiem Dzisiejszości
Do Ziemi Obiecanej Jutra!

V. LARGHETTO

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Traktory krwawym prowadzące śladem
I nieczemnych płodzie dla OWOCÓW GNIEWU —
Wy rodzicie nędzy, co KRAJOWCA rodzi —
Przekleństwo ziemi przez Ojców zdobytej.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Baśń snując o chłopie, co stał się panem,
Robotnikom puste misy zostawiając. —
Wycię mięsem wyborczym, by uczynić z Kraju
Ogluszące wrzaskiem swojej demagogii.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Giełda wstrząsając wasze sztuczne wrzaski,
A rozmnażając się jak świnki morskie,
— Nasz Chrystjanizm zmieniać w namiastkę,
Demokrację i prawa plugawie boskie.

Nikt na tej Ziemi dzisiaj
Nie powie nam, ludziom czarnym:
Krańcie w mroku, gdy sprawiedliwi śpią,
Wy — Pięta Kolumna, co rozsada Ojczyznę
W nieczemnej chęci, by uczynić z Kraju
Rozległą Saharę splamioną faszyzmem.

VI. TEMPO DI MARCIA

Z przepastnych głębin Ciemnoty,
Poprzez labirynt Kłamstwa,
Poprzez pustynię Cierpienia...
Idziemy naprzód!

Z rozpacznych zaułków Nędzy,
Poprzez ostępy Przesądu,
Poprzez zapory Rasizmu...
Idziemy naprzód!

Razem z Ludami Świata...
Idziemy naprzód!

Przełożył Julian Stawiński

*) Melvin Beaunearus Tolson urodzony w Mobile w stanie Missouri — jednym ze stanów gwałtownie reżystowskich — kształcił się w New Yorku. Jest profesorem angielskiego na uniwersytecie w Langston. Ogłosił szereg utworów poetycznych w czasopiśmie i wydał w 1944 tom wierszy „Rendez-vous with America” (Spotkanie z Ameryką). Zaczęła się z tego tomu Czarna Symfonia była nagrodzona na Wystawie Twórczości Murzyńskiej w Chicago. W celu objaśnienia należy zaznaczyć, że Lento Grave zawiera szereg nazw znanych murzyńskich pieśni religijnych, tzw. Spirituals, Tempo Primo — nazwiska przybitych przywódców murzyńskich, zaś Larghetto — tytuły dwóch głośniejszych pieśni.

swym okrucieństwie kolonizatorzy i opasli bankierzy, nie tylko szalbierczy politycy-czciiele czeków i przekupni sędziowie, lecz również, i dla tych samych przyczyn, jadłowici dziennikarze i zbikowani na punkcie dolara wolowaci członkowie Akademii, metafizyczni etnografowie, gadaliwi intelektualisci, których śmierdzący rodowód wywodzi się od Nietzschego, lub upadli synowie jakiejś tam plejady, paternalisci, chwalecy fałszywego przymierza, demoralizatorzy, pseudo-przyjaciele, poklepujący cię dobrodziejnie po ramieniu, amatorzy egzotyki, teoretycy podziału ludzkości, poeci fałszywie rewolucyjni a gorliwie szczekający na zamówienie, agraryści, usypiacze sumień, mistyfikatory, pyskacze i w ogóle wszyscy ci, którzy odgrywają jakąkolwiek rolę w plugawym sprzyśnięciu dla obrony zachodnio-europejskiego, burżuazyjnego społeczeństwa, wszyscy ci, którzy różnymi drogami, postępując się nieczemną dywersją, dążą do rozbicia sił Postępu — gotowi zaprzeczcy nawet samej możliwości Postępu — wszyscy poplecznicy kapitalizmu, wszyscy jawni czy skryci rzecznicy rabunkowej kolonizacji, wszyscy odpowiedzialni za nią nienawistni handlarze niewolników, wszyscy, których osiągnąć musi w przyszłości gniew rewolucji.

Wyrzuc więc precz, towarzyszu, wszystkich tych mataczy, wszystkich fabrykantów krętać, wszystkich szarlatanów — mistyfikatorów, wszystkich szermierzy bzdurą. Nie próbuj zbadać, czy osobiście panowie ci mają dobrą czy złą wolę, czy osobiście ich pobudki są złe czy szlachetne, czy osobiście, to znaczy w swym sumieniu jakiegos Piotra czy Pawła, są czy nie są zwolennikami kolonizacji. Pamiętaj — zasadnicza sprawa polega na tym, że ta ich mocno wątpliwa subiektywna dobra wola nie pozostaje w żadnym stosunku do obiektywnego zła społeczeństwa jakie wyrzadzają spełniając rolę psów łachuchowych kolonializmu.

Aime Cesaire

*) Aime Cesaire, Murzyn, urodzony w Anilyach, a wychowywany we Francji, uczeń słynnej Ecole Normale, poseł do parlamentu, poeta i pisarz.

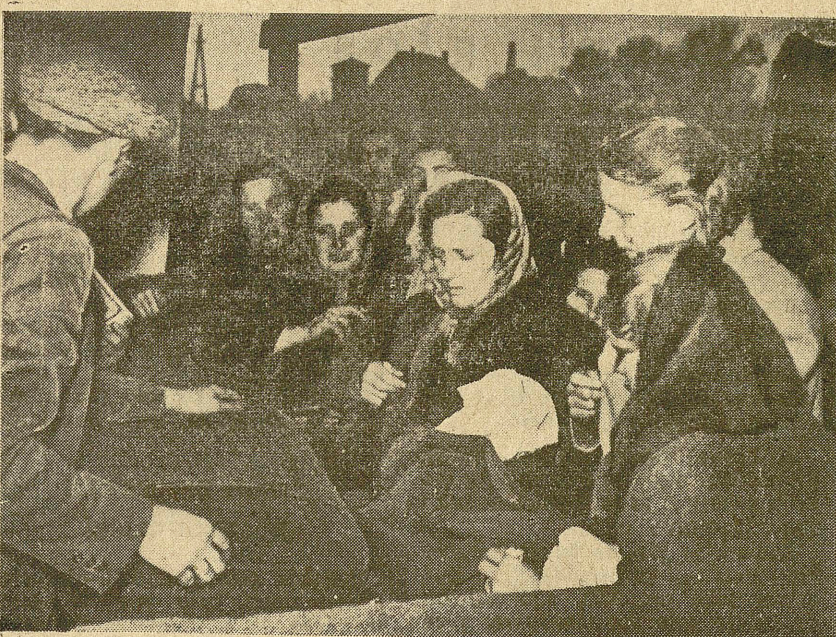


Foto CAF

WOJCIECH DRYGAS

Ob. Antosik

AKURAT miał przyjechać do PZGS-u jakiś zapowiadany od szeregu dni dziennikarz, więc ob. Antosik, pełniący tutaj odpowiedzialną funkcję kierownika działu zapowiedzi, umocowił w wielkim pośpiechu nad swoim biurkiem pięknie wykonany wykres — dzieło jednej nocy podreperanta Stasiaka i maszynistki Mazkiewicz. Na wykresie tym uwidoczniło się wszystko, czego potrzebna była ob. Antosikowi dla rozszerzenia w świecie swej sławy.

Cyfrę, napomniawszy ilustrowanym, które odmierzały plan czwartego kwartału, brały się wesoło pod boki i jakby mówiły: „Patrzajcie! No ludzie, jak ten uśmiech! Antosik wyszłaftował nas na przodownicy! Wykroczyliśmy ponad plan!” I rzeczywiście! W obrotach detalicznych krzyżna realizacja, jak akrobaticznie, wspięła się aż do 109%, w obrotach hurtowych wystrzeliła w niebo o 25% wyżej, aniżeli sięgali tam kiedykolwiek przewidywania kierownika zapowiedzi.

Jednym słowem wesołe cyfry napawały dumą. Pod takim wykresem można było przycisnąć się spokojnie do biurka, wyciągnąć nogi i w stanie łaski uświecającej oczekiwać uspaniałotnianego artykułu prasowego, premii, lub co lepsze, awansu i pochwał co najmniej ze sześciu wojewódzkich.

Ale życie płała niekiedy wielkim ludzom figle. Zapowiadany przyjazd dziennikarza do PZGS-u ubiegł całkiem niespodziewanie, więc a członków komitetu sklepowego z Borowiska, którzy wstąpili bez ceregieli w zacisze gabinetu ob. Antosika. Jakież były powody ich podeńrowania? Chodziło dyprawdy o głupstwo. Sklep, który reprezentowali, otrzymał kilkanaście kombinizonów roboczych, takich właśnie, jakie wkłada chłop, wychodząc z maszyną w pole. I nie byłoby w tym fakcie żadnych osobliwości, gdyby nie jeden z kupców: bluzę dostarczone — o spodniach zapomniano.

— Gdzie są spodnie? — zapytywał rozszalony komitet. — Kto paraduje w naszych spodniach? — zagladali ukradkiem pod biurko, sprawdzając, czy aby ob. Antosik nie ubrał się w takowe na codzień.

Podjętym okazywały się zupełnie niezasadzone. Kierownik zapowiedzi nosił od góry do dołu popielaty samodzielną z zielonym szlaczkiem. O spodniach nie pewnego nie wiedział, wydawał się być poważnie zaszczycony, ba, nawet ustraszony do szpiku kości. Przecież cyfry mówią wyraźnie: plan detaliczny i hurtowy wykonany z hakiem! Skąd więc te dziwne pretensje ludzi z terenu? Rzuć! niedużoż niekilka gorzkiej uwag pod adresem złych komitetów sklepowych, które dopuszczają do kumoterstwa, a potem plączą i rozzierają szaty.

— Nie mówię, że tak jest właśnie u was — zastrzegł się dyplomatycznie, widząc poruszenie wśród chłopów. — Lecz większość komitetów — szkoda gadać! — machnął lekceważąco dlonią. — A ja, widząc, chociaż mam was wszystkich na swej głowie, to proszę... zrobić wymowny gest w stronę wykresu nad biurkiem. — Każda rzecz w terminie i z nadwyżką. Bo ja, proszę was, jestem z żelaza, tyle że mnie samozaparcia w pracy. Właśnie ma tu przyjechać pewien dziennikarz, który opisać mnie w gazecie... I co wy na to?

Zanim chłopci zdolali otworzyć usta, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Zamiast zapowiadanego od szeregu dni dziennikarza — do gabinetu kierownika zapowiedzi wkroczyła delegacja chłopów z Głuszy, a za nią komitet sklepowy z Anielina. Głusza zajęła miejsce pod piecem, Anielin rozsiadł się na krzesłach pod wiszącymi. Czekali swojej kolejki.

— Czego tam? — rzucił ozięble ob. Antosik.

Od pieca zaczęto rozdzierać się basem nad chronicznym brakiem papieru i zeszytów szkolnych, które miały nadejść do sklepu gromadzkiego w czwartym kwartale, lecz nie nadeszły. Natomiast spod wiszących dopytywano się piskliwym, kobiecym głosem o przybieganie w czwartym kwartale asortymentu wyrobów żelaznych i metalowych.

Kierownik zapowiedzi wciąż jeszcze panował nad swymi — jak mówił — rozstrzęsionymi nerwami, był przecie: „człowiekiem z żelaza”. Uśmiechał się nawet uprzejmie, bez cienia szyderstwa, nawet dobrodusze, patrząc na chłopów, jak gdyby oczekiwał, że mu zawitują. I istot-

nie usta interesantów wykrzywił jakiś grymas, co to nie wyglądało na płacz, a już zupełnie nie był śmiechem.

— Wykonaliśmy plan, czy nie? — indagował uprzejmie ob. Antosik.

— Ano, wykonaliśmy... — kiwali głowami chłopci.

— Przekroczyliśmy plan, czy nie?

— Jużci, przekroczyliśmy...

— Więc czego jeszcze chcecie?

— Spodni — odpowiedział chór-

talnie komitet z Borowiska.

— Przybiecane go papieru i zeszy-

tów — prosiła delegacja z Głuszy.

— Tych wyrobów żelaznych, co to są w planie — denerwowali się chłopci z Anielina.

Kierownik zapowiedzi spurpu-

rowiał na twarzy i ze słowami: „Cze-

kajcie-no, już my was sprawdzi-

wy terenie!” — ryknął w słuchawkę te-

lefonu.

— Inspektorzy do mnie!

W kilka dni później mieszkałcy

w Borowisku przeżywali nie byle ja-

kie emocje. Do gromady zaczęli zje-

żdzać całymi grupami inspektorzy.

Przejeżdżali, badali, stwierdzali, na

co się mocno gniewali, potem w

swych strasznych prokokach długo

zapisywali, delegacje stemplowali i...

odjeżdżali. A spodni, jak nie było —

tak nie było.

W Głuszy znowu obrali inną fak-

tykę. Przyjeżdżali pojedynczo. Jeden

badal sprawę od strony sklepu, drugi

zapuszczał się nawet za opłoki

gospodarstwo chłopskich, trzeci nie

badal tylko: grzał, za to czwart-

duzo badał i milczał. A potem przy-

jechał piąty, ale był bardzo dobry

i tylko kiwał głową, za to szóst-

ki spłakal się nad własnym protokół-

em, bo był człowiekiem sercowym,

a nie potrafił wykręcić nie podejrza-

wego w działalności komitetu sklepo-

wego. A papieru i zeszytów, jak nie

było — tak nie było.

Najgorzej jednak wypadł Anielin.

Do wioski zjeżdżali inspektorzy ze-

spolowo i indywidualnie. Przyjeżd-

żali od strony mylna, ziewali, her-

batę pili, trochę straszili, delegacje

stemplowali i... odjeżdżali znowu w

stronę mylną. Ale tylko tak na ni-

by. Bo za chwilę wpadali do wioski

od strony lasu i z okrzykiem: „Te-

raz was wrzeszczę mam!” — zabiera-

li się od nowa do badania, stwierd-

zania, odmowywania, grzebania w

papierach. Wreszcie pot z czoła

ścierali, delegacje stemplowali i

zniechęceni... odjeżdżali. A wyrobów

żelaznych i metalowych jak, nie by-

ło — tak nie było.

I prawdopodobnie cała sprawa ze

spodniami, papierem i żelazem za-

suszylaby się na pamiętkę w prze-

pastnych czeluściach biurka ob. An-

tosika, gdyby nie trzy pisma, które

kolejno doreczyła poczta władzom

PZGS-u.

Centrala Odzieżowa zapytywała

grzeźnię, dlaczego kierownik zaop-

atrzenia nie był uprzejmy odebrać

z magazynu przygotowanych tam

1000 par spodni roboczych, zado-

walając się tylko samymi bluzami.

Dyrekcja drugiej centrali przypomi-

nała z troską w każdym zdaniu, że

4 tony (słownie: cztery!) papieru i

zeszytów szkolnych czeka bezskute-

cznie na konsumentów wiejskich.

Czyż byście nie mieli żadnych po-

trzeb? — dziwno się. Jeśli tak, to

was przekażemy chłopom innego po-

wiatu!

Po ojcowsku tajala ob. Antosika

trzecia z kolei centrala zbytu, za ka-

rygodne (wyraz ten, o zgrozo! pod-

kreślono czerwonym atramentem) —

za karygodne zaniedbanie odbioru,

w czwartym kwartale, przeszło 3 ton

wyrobów żelaznych i metalowych.

W pierwszym momencie ob. Anto-

sik zniechęcił się do swym biur-

kiem, potem zwołał do bazy wszyst-

kich inspektorów z terenu i w koń-

cu, zdążył się ściany wykres, pięknie

wymalowany kolorowymi ołówkami

przez podreperanta Stasiaka i ma-

szynistkę Mazkiewicz.

Postanowił już nie oczekiwać pre-

mii, awansu i pochwał ze sześciu

wojewódzkich. Na te uspaniałota-

myśl upadł, niesety, dopiero po

przezczytaniu pewnego artykułu, w

k którym zapowiadany w PZGS-ie od

szeregu dni dziennikarz, ożisał os-

łownie sprawę 1000 par spodni, 4

tony papieru i 3 ton żelaza. Był on

bowiem w GS-ach w Borowisku,

Głuszy i Anielinie, a potem w centra-

lach, papieru, żelaza i odzieży. Dla-

tego, dlatego... ob. Antosik nie do-

czekał się dziennikarza, natomiast

straszliwego artykułu w gazecie.

Wojciech Drygas

TADEUSZ PAPIER

OSTATNIA PODRÓŻ

Notatki z teren

JUŻ był w ogródku, już witał się z gaską... Nie chce przez to powiedzieć, że i naszego bohatera, występującego pod pseudonimem „Pan” (tak go przeważnie w popołudniowym pociągu robotniczym zdążającym z Łodzi w stronę Kolu-szek) spotkał ten sam los, co owego lisa w cytowanej bajce. Do pociągu wskoczył prawie w ostatniej minucie. Po energii z jaką torował sobie drogę do środka można było sobie wyobrazić, jak spieszył się przez ulice miasta, aby zdążyć na czas. Może nawet przyjechał takśkowską.

Mimo protestów podróżnych, a szczególnie kobiet, przepchał się do środka, przeprosił kogoś uprzejmie i postawił na jego pakunku swoją walizkę. „Jeszcze nie ciężka” — zapewniał, kładąc przy tym dwuznaczny akcent na słowo „jeszcze”. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte. Wagon był długi, poprzedzany niewysokimi oparciami. Przez środek biegł wąski korytarzyk, również zapchany ludźmi. Siedzieli kobiety większe z tobołkami, powracające z wyprawy handlowej do miasta, uczniowskie zawodowych, kilku, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać, urzędników, robotnicy fabryczni i kolejowi. Nasz bohater pokreślił się chwilę w mie-

scu i nie wiadomo kiedy wstał się pomiędzy siedzącymi na ławce. Siedzieli bokiemi, potem wykreślił się z drugiej strony i już siedział wygodnie, dogadując, że szpilka się nie wciśnie, ale on się wciśnie. Był to wątpliwy dowcip, ale kilka kobiet roześmiało się wesoło, porównując jego okragłą postać do szpilki. „Pan” się uśmiechnął, wytarł kraciastą chustką spoczone czoło, zatrzymał dłużej spojrzenie okragłych piwnych oczu na młodej studentce o delikatnej, jakby zmęczonej tro-

chę twarzy i długich warkoczach. Dziewczyna stała obok wysokiego robotnika, oparła się o występ okna i czytała książkę. „Pan” rzucił półgłosem w jej kierunku: „Ciekawe, co?” Dziewczyna nie odpowiedziała.

„Pan” rozpiął płaszcz, odkrywając ciepłe futerko, poprawił się na ławce i zamierzał znowu zaczątkować dziewczynę, kiedy przetrwał mu ochrypły, przeciągły, jakby śpiewający głos z peronu: „Gazety warszawskie, łódzkie, tygodniki. W. elka katastrofa samolotowa w USA. 60 osób zabitych, wielka katastrofa...” „Pan” rzekł dość głośno: „Wierzę!” Skrzywił się przy tym, jakby cytując jadł. Dziewczyna spojrzała na niego z pewnym zainteresowaniem, wyglądała, jakby podziwiała jakiś ciekawy okaz, potem znowu pochyliła się nad książką. Podług nagle drgnął, kiedy pary otuliły okna

od zewnątrz, stacja wraz z niestrudzonym sprzedawcą gazet pozostała w tyle.

Wagon zaczął się rytmicznie kołysać. „Pan” poprawił się nagle na ławce i jakiś starszy robotnik siedzący na brzegu, zsunął się na swój pakunek i popchnął niechcący swego młodszego koleżę, który drzemał na podłodze. Ten odgarnął długie, spadające na czoło włosy i pochylił głowę na kolana. „Pan” odwrócił się w kierunku drzemającego i obserwując kątem oka wciąż czytającą dziewczynę, wymówił umyślnie przyciszonym głosem: „Przyjemnych marzeń”. Ale nie wywołało to zamierzonego efektu. Tyko ów robotnik stojący przy oknie obok dziewczyny zdawał się usprawiedliwiać śpiącego.

— Skutki zabawy. Wczoraj do późnej nocy tańczył, a rano do fabryki...

„Panu” oczy zabłysły. — Nie szkodzi, nie szkodzi — mlasnął językiem i strzelił okiem w stronę dziewczyny — ładna zabawka, he?

— Jak dla kogo? — odpowiedział natychmiast basem robotnik, którego zepchnięto z ławki.

„Pan” miał ograniczone pole widzenia. Przed nim stała opatulona w grube chusty kobieta, która ponadto trzymała w ręku parę koszyków. Kobieta niezmiennie przechylała się w stronę okna, zasłaniając częściowo dziewczynę. „Pan” już od paru minut usiłował kolanami oddepnąć „babę” na bok, ale mu się to nie udawało.

— Możebyście usiedli gdzie, mamusi — przemówił głośno, usiłując dowieść przykryć narastającą złość.

— Patrząc, przyszedł na końcu, a siedzi i człowiekowi każe się usunąć. Jak niewygodna, to proszę do pierwszej klasy. Znają takich! Kobieta była zła o miejsce, którego nie zajęła wcześniej.

„Pan” otarł pot z czoła i nie przyjął wyzwania. Po chwili jednak, jakby nie pamiętając o starcu, zapytał cicho:

— Daleko pani?

Kobieta spojrzała na niego z góry i usunęła się nieco na bok.

— Ej, tam! — wskazała ręką na koszyki.

„Pan” skłonił dymyślnie głowę.

— Ciężko idzie?

Kobieta mruknęła coś w odpowiedzi. Poprawiła chustkę na głowie i odwróciła się bokiem.

„Pan” miał znowu widok na okno i dziewczynę z książką. Za oknami wagonu szarżało, do wnętrza pruszył mrok i dziewczyna schowa-

ła książkę do teczek. „Pan” pragnął w jakiś sposób zwrócić jej uwagę na siebie. Zaczął znowu:

— Najlepiej temu — wskazał na chrapającego robotnika.

— Pewnie! — poparła go nieoczekiwanie właścicielka koszyków.

— Gdzie była ta zabawa? — zainteresował się „Pan”.

— U nas, we wsi. ZMP urządziło. Taki wynik, że człowiek niezdolny dziś do pracy — robotnik siedzący na swoim pakunku, odpowiadał wolno, jakby z niechęcią.

— To ZMP winno temu? — rzuciła zaczepnie od okna dziewczyna. Głos miała dziewczęcy, czysty. Zwróciła uwagę wszystkich na siebie.

„Pan” mruknął „acha!”, jakby odgadł już dziewczynę do głębi. Z miejsca ją sklasyfikował. Poprzednie zainteresowanie zaczęło się przetracać na chęć ośmieszenia jej.

Dziewczyna powtórzyła:

— Na pewno nie ZMP.

— Można! — zgodził się bas. — Nie mówię, że ZMP, ale że na zabawie ZMP.

— Jak dla kogo? — odpowiedział natychmiast basem robotnik, którego zepchnięto z ławki.

„Pan” miał ograniczone pole widzenia. Przed nim stała opatulona w grube chusty kobieta, która ponadto trzymała w ręku parę koszyków. Kobieta niezmiennie przechylała się w stronę okna, zasłaniając częściowo dziewczynę. „Pan” już od paru minut usiłował kolanami oddepnąć „babę” na bok, ale mu się to nie udawało.

— Patrząc, przyszedł na końcu, a siedzi i człowiekowi każe się usunąć. Jak niewygodna, to proszę do pierwszej klasy. Znają takich! Kobieta była zła o miejsce, którego nie zajęła wcześniej.

„Pan” otarł pot z czoła i nie przyjął wyzwania. Po chwili jednak, jakby nie pamiętając o starcu, zapytał cicho:

— Daleko pani?

Kobieta spojrzała na niego z góry i usunęła się nieco na bok.

— Ej, tam! — wskazała ręką na koszyki.

„Pan” skłonił dymyślnie głowę.

— Ciężko idzie?

Kobieta mruknęła coś w odpowiedzi. Poprawiła chustkę na głowie i odwróciła się bokiem.

„Pan” miał znowu widok na okno i dziewczynę z książką. Za oknami wagonu szarżało, do wnętrza pruszył mrok i dziewczyna schowa-

ła książkę do teczek. „Pan” pragnął w jakiś sposób zwrócić jej uwagę na siebie. Zaczął znowu:

— Najlepiej temu — wskazał na chrapającego robotnika.

— Pewnie! — poparła go nieoczekiwanie właścicielka koszyków.

— Gdzie była ta zabawa? — zainteresował się „Pan”.

— U nas, we wsi. ZMP urządziło. Taki wynik, że człowiek niezdolny dziś do pracy — robotnik siedzący na swoim pakunku, odpowiadał wolno, jakby z niechęcią.

— To ZMP winno temu? — rzuciła zaczepnie od okna dziewczyna. Głos miała dziewczęcy, czysty. Zwróciła uwagę wszystkich na siebie.

„Pan” mruknął „acha!”, jakby odgadł już dziewczynę do głębi. Z miejsca ją sklasyfikował. Poprzednie zainteresowanie zaczęło się przetracać na chęć ośmieszenia jej.

Dziewczyna powtórzyła:

— Na pewno nie ZMP.

— Można! — zgodził się bas. — Nie mówię, że ZMP, ale że na zabawie ZMP.

— Jak dla kogo? — odpowiedział natychmiast basem robotnik, którego zepchnięto z ławki.

„Pan” miał ograniczone pole widzenia. Przed nim stała opatulona w grube chusty kobieta, która ponadto trzymała w ręku parę koszyków. Kobieta niezmiennie przechylała się w stronę okna, zasłaniając częściowo dziewczynę. „Pan” już od paru minut usiłował kolanami oddepnąć „babę” na bok, ale mu się to nie udawało.

— Patrząc, przyszedł na końcu, a siedzi i człowiekowi każe się usunąć. Jak niewygodna, to proszę do pierwszej klasy. Znają takich! Kobieta była zła o miejsce, którego nie zajęła wcześniej.

„Pan” otarł pot z czoła i nie przyjął wyzwania. Po chwili jednak, jakby nie pamiętając o starcu, zapytał cicho:

— Daleko pani?

Kobieta spojrzała na niego z góry i usunęła się nieco na bok.

— Ej, tam! — wskazała ręką na koszyki.

„Pan” skłonił dymyślnie głowę.

— Ciężko idzie?

Kobieta mruknęła coś w odpowiedzi. Poprawiła chustkę na głowie i odwróciła się bokiem.

